

J. BOHUSZEWICZOWA

I. A. 560 731

Przygody Państwa Milusińskich

BAJECZKI DLA DZIECI Z ILUSTRACJAMI



Wydawnictwo KSIĘGARNI POPULARNEJ w Warszawie



I 1.560.731

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001007946323

1. Kto były dzieci.



Państwo Milusińscy, była to parka niezmiernie dobra i miła, zbyt jednak swawolna i przez to nieraz roztrzepana. Pan Janio skończył już lat 8 i miewał stale lekcje z nauczycielką, panną Heleną, co go taką dumą napędliało, że na młodsze rodzeństwo patrzył zgóry. Młodsza o rok od niego panna Maniuta męczyła się dopiero nad abecadłem i stawiała mozolnie w łajecie pierwsze litery.

Dzieci mieszkały w ładnym dworze, za którym się ciągnął obszerny ogród, przytyka

1982 K 1533/2

jący jednym bokiem do niewielkiego jeziorka. Janio i Maniuta lubili tę stronę niezmiernie, ale mamusia nie pozwalała im chodzić w tę stronę samym, a nawet niechętnie godziła się na spacery nad jezioro z nianią, obawiając się zawsze, że niania, zajęta maleńkim dwuletnim Rysiem, nie zwróci dostatecznej uwagi na Milusińskich.

2. Przykładna oszczędność.



Czemu, Maniuto nie jesz swoich karmelków? — zapytała mama.

Panna Maniuta, pomimo swoich zalet była, niestety, bardzo łakoma i chociaż walczyła bohatersko z tą wadą, często często ulegała pokusie.

Pewnego razu mamusia dała dzieciom po trzy karmelki, zalecając, by je zjadły dopiero po podwieczorku. Janio usłuchał mamy, włożył karmelki do kieszonki i dopiero po spałaszowaniu porcji zsiadłego mleka i chleba z masłem zaczął je chrupać ze smakiem.

Panna Maniuta zjadła przeznaczoną dla siebie porcję, podziękowała mamusi i pannie Helenie i chmurna jakaś ku drzwiom się skierowała.

— Czemu, Maniuto, nie jesz swoich karmelków? — zapytała mama, patrząc uważnie na dziewczynkę,

— Kiedy... kiedy... ja je już wszystkie zjadłam, — odparła zawstydzona Maniuta.

— Jakto, zjadłaś? przecież mówiłam, abyście poczekali do podwieczorku. Słodycze psują apetyt, wiesz więc, że należy ich używać tylko po jedzeniu, — rzekła surowo mama.

— Ach, mamusiu jedyna, nie gniewaj się na mnie, — prosiła żałośnie dziewczynka, — ale stało się to tylko przypadkiem. Ja chciałam ugryźć tylko maleńki kawałek, aby przekonać się jak smakuje i przez nieuwagę włożyłam do buzi cały, potem Janio mnie zawołał i... i przez prędkość zjadłam drugi. A ten trzeci tak rozmiękł, że musiałam go zjeść czempredzej, aby się nie zmarnował, bo przecież sama mamusia uczy nas, żebyśmy nic napróżno nie marnowali.

— Zupełnie słuszne dowodzenie, — rzekła mama surowo, — ja też w myśl twoją, aby karmelki nie rozmiękły i przez to nie marnowały się w twoim ręku, nie będę ci ich dawać, dopóki nie oduczysz się tego wstrętnego łakomstwa

Z tymi słowami mamusia z panną Heleną wyszły z pokoju, zostawiając pannę Mańnię samą i zawstydzoną.

3. Wycieczka do lasu.



Jasio pracował z zapalem.

W pewnej niedzieli tatuś kazał przygotować wóz drabiniasty i zapowiedział dzieciom, że je sam po obiedzie zawiezie do lasu. Mamusia została w domu, spodziewała się bowiem wizyty jednej z sąsiadek, niania zaś musiała pilnować Rysia, który od rana był jakiś nieswój i osowiały.

Pewnej niedzieli tatuś kazał przygotować wóz drabiniasty i zapowiedział dzieciom, że je sam po obiedzie zawiezie do lasu. Mamusia została w domu, spodziewała się bowiem wizyty

Dzieci z wybuchem radości przyjęły zapowiedź tatusia i z zapalem poczęły szykować dzbanuszki na jagody i koszyczki na grzyby.

— Nazbieram mamusi całą furę jagód i drugą grzybów, — chwaliła się Maniuta.

— Bardzo ci będę wdzięczna, moje dziecko, — odparła z uśmiechem mamusia, — bo bardzo lubię poziomki. Tylko nie pomył się przypadkiem i nie włóż wszystkich do brzuszka zamiast do dzbanka.

Maniuta zaczerwieniła się, nic jednak nie rzekła, tylko postanowiła uzbierać dla mamusi największy dzbanek jagód.

Droga przeszła bardzo wesoło, w lesie zaś tatuś skręcił na prześliczną polankę, gdzie było prawdziwe królestwo poziomek i stanął na uboczu. Przywiązawszy konie do drzewa i rzuciwszy im wiązkę siana, sam ułożył się na trawie i wyjął z kieszeni gazety, które zaczął czytać ciekawie.

— No, dzieci, do roboty! — zawołała panna Helena. — Kto pierwszy uzbiera pełen dzbanek, dostanie tabliczkę czekolady!

Janio i Maniuta pochwycili dzbanki i z zapalem zabrali się do zrywania. Poziomek

w tym roku była obfitość wiekã, a Janio pracował z zapalem, to też wkrótce pierwszy zawołał z tryumfem:

— Ja już!

— I mnie niewiele brakuje, — odparła panna Helena, dopełniając pospiesznie dzbanka. — A ty Maniuto?

Panna Maniuta pokazała do połowy załedwie napełniony dzbanek, a jej umazana poziomkami buzia mówiła wyraźnie, że obawy mamusi sprawdziły się co do joty.

— O jej, co za fura! — zaśmiał się Janio przekornie, ale panna Helena rzekła surowo:

— Przypuszczam, Maniuto, że zechcesz dozbierać resztę, bo wstydby ci było ofiarować mamusi taką odrobinę. Zabierz się więc do roboty, a my z Janiem pójdziemy na grzyby.

— Proszę pani, i ja pójdę, a potem dozbieram jagód, — prosiła dziewczynka, która niezmiernie lubiła zbierać grzyby.

— Nie, Maniuto, — odparła nauczycielka, — nie można rzucać jednej roboty niedokończonej i brać się do drugiej. Skończ najprzód z jagodami, a potem, jeśli czasu zostanie, weźmiesz się do grzybów.

— A na pociechę przypomnij sobie, że się grzybów na surowo nie jada, — dorzucił Janio, który dokuczał czasem siostrzyczce za jej łakomstwo.

Dziewczynce łyż stanęły w oczach, nie rzekła jednak nic i gorliwie zabrała się do rwania jagód, podczas kiedy panna Helena z Janiem zapuścili się w głąb lasu i tylko wesołe ich głosy dochodziły do niej.

O wiele jednak było jej przykrzej wieczorem, kiedy tatuś dziękował pannie Helenie i Janiowi za grzyby, które mamusia kazała udusić na kolację, a w których zbieraniu Maniuta żadnego udziału wziąć nie mogła.

4. Przygoda z Szarusią.

— Maniuto, zabieraj się! Panna Helena pozwoliła nam się bawić w grabowej alei i zaraz tam do nas przyjdzie, — rzekł Janio do siostry, która siedziała na werandzie.

Na to wezwanie Maniuta rzuciła w kąć córeczki i w podskokach pospieszyła za bratem. Przechodząc obok klombu, dzieci spostrzegli wygrzewającą się na słońcu kotkę, Szarusię.

— Niedobra Szarusia, — rzekła Maniuta, — wyleguje się tutaj, a tam pewnie jej dzieci piszczą do matki.



Spostrzegli wygrzewającą się kotkę Szarusię.

— To też musimy ukarać ją za to, — rzekł Janio surowo.

— Weźmiemy ją z sobą i wsadziemy na godzinę do kozy. Jak się dobrze stęskni, to nie będzie opuszczać kociąt.

- Tak, trzeba ją ukarać, — potwierdziła Maniuta z przekonaniem i nie namyślając się długo, pochwyciła Szarusię na ręce.

W alei Janio, jako majster do wszystkiego, upłócił z traw i gałązek wielką klatkę, którą przyczepił do sztachet i wsadził w nią Szarusię. Kotka pozwoliła robić ze sobą wszystko i dopiero znalazłszy się w ciasnym więzieniu zaniepokoiła się nieco i zaczęła drapać dość przezroczyście ściany. Janio i Maniuta stali na straży, aby im więzień nie

ucieł, pomimo to Szarusia zdołała przerwać jakiś otwór i jednym susem wyskoczyła przez sztachety w pole.

— Szarusiu! Szarusiu! kici kci! — zawołała Maniuta.

Kotka zatrzymała się na chwilę, niepewna, czy sztachety bronią ją dostatecznie od małych dręczycieli, gdy nagle na niespodziewającą się niczego rzucił się z boku jakiś olbrzymi, wałęsający się wkoło ogrodu brytan.

Przerażone dzieci krzykiem i kamieniami starały się odstraszyć okrutnego napastnika, ale kiedy się im to wreszcie udało, biedna Szarusia leżała martwa na ziemi. Z płaczem opowiedziały dzieci nadchodzącej panie Helenie o śmierci biednej kotki, a i nauczycielce zakręciły się łzy w oczach, bo wszyscy w domu łagodną i mądrą Szarusię lubili bardzo.

5. Psie serce.

Dzieci długo nie mogły się uspokoić po stracie Szarusi, temwięcej że sumienie wyrzucało im, iż one to były mimowolną przyczyną śmierci biednego zwierzątka. Mamusia i panna Helena patrzyły na nie ze smutnym

wyrzutem, a tatuś pogniewał się na dobre, mówiąc, że nie należy czynić się sędzią spraw, o których się niema pojęcia.



potem bez ceremonji wskoczyła do środka.

Janio i Maniuta odczuwali swoją winę i starali się opieką i troskliwością wynagrodzić kociętom stratę ich mateczki. Pomimo jednak, iż przenieśli je do miękko wysłanego kosza, iż mleczkiem je ciepłem poili i kołderką flanelową od chłodu okrywali, biedne maleństwa drżały nieustannie i piczczały żałośnie. Pewnego poobiedzia Maniuta przyniosła koszyk z kociętami na werandę, aby słońko pogrzało je cokolwiek, sama zaś z Jasiem usiadła na schodkach, coś mu ciekawego opowiadając:

Kocięta pod wpływem dobroczynnego ciepła zasnęły spokojnie, po chwili jednak zaczęły się kręcić i piszczeć cicho.

— Jeść im się chce, — zdecydował Ja-

nio — Idź, Maniuto i przynieś mleka dla nich.

Zanim jednak Maniuta zdążyła wejść do pokoju, na werandę wbiegła suczka „Wierusia”.

Usłyszawszy pisk kociąt, powęszyła niepokojnie, podbiegła do koszyka, polizała małeństwa, a potem bez ceremonji wskoczyła do środka.

— Mamusiu! panno Heleno! — zawołały przerażone dzieci. — Wierna wskoczyła do kociąt, pewnie im co złego zrobił

Obie panie przybiegły zaniepokojone i zajrzały do kosza, uśmiechnęły się jednak natychmiast wzruszone i mamusia pogłaskawszy Wierną, zwróciła się do dzieci:

— Nie obawiajcie się o kocięta, — rzekła. — Nasza Wierna ma zbyt szlachetne serce, aby uczynić krzywdę sierotkom. Spójrzyjcie, jak je tuli i liże, jakby jej własnymi dziećmi były. Pamiętajcie tylko karmić małeństwa, a ona już je wychowa.

Od tej chwili Wierna stale opiekowała się kociętami, a dzieci jeszcze serdeczniej pokochały pocziwą suczkę.

6. Kto zawinił.



ujrzała na kredensie pustą
cukiernicę.

Pewnego dnia mamusia weszła po coś do stołowego pokoju i ujrzała na kredensie otworzoną i pustą cukiernicę.

— Nie wiecie, dzieci, gdzie się podział cukier z cukiernicy? — zapytała mama. —
Wszak po śniada-

niu było w niej jeszcze kilka kawałków.

— Nie wiem, mamusiu, — odparł Janio, zajęty reparowaniem lejc.

— I ja nie wiem, — powtórzyła Maniuta, zaczerwieniła się jednak przytem ogromnie.

Mamusia udała, że nie spostrzegła rumieńca córeczki i zwróciła się znowu do
nia.

— Przyznaj się, Janiu, może to ty wzią-
łe cukier?

— Nie, mamusiu, ja nic nie biorę pokry-

jomu. [A gdybym wziął, tobym się zaraz przyznał, — odparł chłopczyk z godnością.

— Więc to ty, Maniuto? — rzekła mama z wyrzutem.

— Nie, mamusiu. A on niech na mnie nie spędza, bo nie widział wcale, jakim brała... stał właśnie odwrócony tyłem, — zawołała Maniuta zaperzona.

Na te słowa Janio wybuchnął śmiechem, ale mama spojrziała na dzieci poważnie i przyciągając do siebie córeczkę, rzekła z przejmującym smutkiem w głosie:

— A więc jednak znowu uległaś łakomstwu, Maniuto. Czy ty rozumiesz do jakich brzydkich czynów ta wstrętna wada cię popycha? Czy wiesz jak uczciwi ludzie nazywają branie czegokolwiek pokryjomu?..

— Kradzieżą, — wtrącił Janio.

— Cicho bądź, Janiu, — zgromiła wtrącałskiego mamusia. — Jestem pewna, że Maniuta samaby po zastanowieniu tak swój czyn nazwała.

Maniuta wybuchnęła płaczem, mama zaś pogłaskała dziewczynkę po złotej główce i ciągnęła dalej:

— Pamiętaj, dziecko moje, że wszystkie

złe czyny i przewinienia ludzkie zawsze się w dzieciństwie od drobnych wykroczeń zaczynają. Pilnuj się więc, dziecino, bo ani kary, ani napomnienia nic nie pomogą, jeżeli ty sama nie zechcesz wyrabiać w sobie uczciwości.

Maniuta zapłakana, w milczeniu ucałowała ręce mamusi i mamusia uspokoiła się zupełnie, bo wiedziała, że jej córeczka postara się o poprawę.

7. Sztuczne jezioro.



Położono go do łóżka.

— Dzieci, poproście do mnie pani Szarskiej, — rzekła mamusia, stając na progu mleczarni, do dzieci, które na podwórzu budowały jakąś olbrzymią wieżę z cegieł. Janio i Maniuta porskoczyli ku oficynie, gdzie mieszkała gospodyni, powtórzyli jej wezwanie mamy i wracali do zabawy, gdy nagle stanęli i oczy ro-

zblýsły im ciekawością. Drzwi od pralni były szeroko otwarte, a wewnątrz panowała cisza.

— Zajrzyjmy, co się tam robi, — rzekł Janio.

— Pewnie tam praczka siedzi, — odparła Maniuta.

— To co, — zawołał zuchowato Janio, — Przecież my tylko zajrzyjemy i zaraz sobie pójdziemy.

Dzieci przedarły się przez krzaki bzu i stanęły na wysokim progu pralni. Była to niewielka izba z dużym kominem do grzania wody. Tuż przy wejściu stały olbrzymie beczki zawsze pełne wody, z przystawionemi do nich ręcznemi pompkami, dalej wiadra, wanienki i balje, prócz tego stołki i ławy pod bieliznę. W pralni nie było nikogo.

— Wiesz, Janiu, jakby to było ślicznie, gdyby się woda z tych beczek wylała. Zrobiłoby się pyszne jezioro do pływania, — rzekła Maniuta.

— Jabym cię zaraz pływac nauczyl, — dodał Janio chełpliwie.

— To wypuśćmy wodę. Nic się nam przecież nie stanie, bo i tak jesteśmy boso.

Była to zbyt silna pokusa, aby Janio mógł się jej oprzeć, to też bez namysłu zbiegł po schodkach do wnętrza pralni i pochwycił za rączkę od pompki.

— Trzymaj rurę! — zawołał na siostrę, — a ja będę pompować.

Dziewczynka ochoczo stanęła do pomocy i po chwili ciepła, wystąpiła woda poczęła spływać strumieniem na cementową podłogę pralni. Dzieciom sprawiało taką uciechę, że opróżniwszy pierwszą, zabrali się do drugiej, a potem do trzeciej beczki.

— Jasiu, ja się boję, tutaj tak głęboko, — rzekła dziewczynka, której woda do kolan nieledwie sięgała.

— Fe, tchórz jesteś, — obruszył się Janio. — Z dziewczynkami to tak zawsze, najprzód chcą, a potem się boją. Tymlepiej że głęboko, — łatwiej się utrzymam na wodzie.

— Alboż ty umiesz pływać? — zapytała z powiątpiewaniem Maniuta.

— Naturalnie, — odrzekł chępliwie. — Nie jestem przecież takim niedołągą, jak ty. Widziałem, jak pływa Wojtuś, ogrodniczek, i wiem, że potrafię tak samo. Trzeba tylko

bić ciągle rękami i nogami po wodzie. O, patrz, jak ja to robię!

Z tymi słowami mały zuch stanął na schodkach i krzyknąwszy: „Raz, dwa, trzy!” — skoczył w wodę.

Pomimo jednak energicznego trzepania rękami i nogami poszedł odrazu na dno.

Maniuta krzyknęła przeraźliwie. Na szczęście krzyk ten usłyszała powracająca do oficyny pani Szarska i przybiegła strwożona.

— Co to jest? Co się tutaj stało? — zawołała, patrząc na pełną wody izbę.

— Myśmy się uczyli pływać i... i... Janio utonął! — wyjąkała przez łzy dziewczynka, wskazując miejsce, gdzie woda poruszała się niespokojnie.

Pani Szarska bez namysłu uniosła suknię, weszła odważnie i pochwyciła na ręce nawpół już przytomnego chłopca.

Trudno opisać przerażenie mamusi, kiedy przemoczona gospodyni wniosła do pokoju bladego jak trup i ociekającego wodą Jania, za którym postępowała również przemoknięta i zapłakana Maniuta. Natychmiast zastosowano wszystkie środki ratunkowe, a kiedy chłopczyk przyszedł wreszcie do siebie

położono go do łóżka. Zbytne opicie się ciepłej i niezbyt świeżej wody wywołało jednak chorobę, która nierozważnego Jania przetrzymała w łóżku przez czas dłuższy.

8. Biedna Fruzia.



Janio ukrył się za drzewem.

Po tym wypadku tatuś i mamusia surowo zabronili dzieciom zaglądać w stronę zabudowań dworskich, a panna Helena pozwalała im samym bawić się tylko na trawniku lub w alei grabowej. Na dalsze zaś spacerowały z

nimi sama, obawiając się zawsze ich swawoli i nierozwagi.

Pewnego dnia mamusia z panną Heleną poszły na wieś, aby zaszcześcić ospę wiejskiej pziatwie, Janio zaś i Maniuta mieli się bawić w alei grabowej, i tam zaczekać na powrót nauczycielki.

— Dobrze, ale w co się będziemy bawić? — zapytała dziewczynka.

— W cud, — odparł Janio. — Ty będziesz wojewodziną i wyjdiesz z dzieckiem na spacer. Ja będę niby dzikim tatarem, wysłanym na przespiegi, zaczaję się na swojej drodze i kiedy nadejdiesz, porwę ci dziecko. Ty mnie naturalnie będziesz gonić, a ponieważ strach o jedyną córkę doda ci sił przeto mnie dogonisz i zaczniesz mi wyrwać dziecko. Ale ponieważ każdy tatar jest silniejszy od kobiety, przeto i ty nie mogąc poradzić sobie ze mną krzykniesz: „Boże, skarż tego ludożercę!” Wtedy stanie się cud, bo ja padnę bez duszy na ziemię, a ty szczęśliwie powrócisz z dzieckiem do domu.

— Pysznie! — zawołała zachwycona Maniuta, — No, zaczajaj się, bo ja zaraz wychodzę.

Janio ukrył się za drzewem, a Maniuta z miną prawdziwej wojewodziny wyszła na spacer z swą starszą porcelanową córeczką, ulubioną Fruzią.

Nagle z za drzewa wyskoczył okrutnie wykrzywiony tatar, porwał biedną dziecinę i zaczął uciekać.

Wojewodzina z krzykiem rozpaczy puściła się za nim w pogoń i dopadłszy go na skřęcie, pochwyciła dziecko za nogi. Tatar bronił swej zdobyczy zajadle, więc biedna matka wypowiedziała zbawcze zakłęcie i wraz stał się nie jeden, ale dwa cudy. Tatar bowiem legł wprawdzie na ziemi, ale w rękę wojewodziny został tylko korpus jej dziecięcia. Poszarpana suknia, poobrywane ręce, nogi i głowa leżały również na ziemi, jako martwe szczątki małej wojewodzianki. Na ten widok Maniuta wybuchnęła prawdziwym płaczem, tatar jednak, który na ten widok ożył nagle zaczął ją pocieszać, że niania jest znakomitym doktorem, który wszystkie braki małej wojewodzianki igłą naprawi.

9. Spotkanie z wężem.

Tego dnia pannę Helenę bardzo bolała głowa, poprosiła więc nianię, aby czuwała nad dziećmi, sama położyła się nieco.

Dzieci bawiły się spokojnie i grzecznie pod kasztanem, aż wreszcie zabawa im się sprzykrzyła i poczęły prosić niani, aby pozwoliła im pójść na spacer do grabowej alei.



I oboje poszeli biedz na przelaj.

— Dobrze, ale nigdzie daley, — rzekła niania. — Ja nie mogę pójść z wami, bo zaraz zaczną usypiać Rysia. Ale jak tylko malutki zaśnie, zaraz tam do was zajrzę.

Dzieci obiecały nigdzie nie odchodzić i pobiegły

do alei. Przez chwilę spacerowały grzecznie, rozmawiając o tem i owem, aż wreszcie Maniuta rzekła:

— Wiesz, Janiu, że my bardzo nudne życie mamy. Nigdzie nam samym pójść nie wolno, a tutaj znamy przecież każdy krzaczek, każde drzewko i nic ciekawego do widzenia nie mamy. Ja się tam bardzo nudzę.

— A ja też, — potwierdził Janio. — Nie rozumiem, dlaczego rodzice nie pozwalają nam chodzić do alei kasztanowej, skąd otwiera się taki cudny widok na jezioro. Przecież tam nic się nam stać nie może, bo na-

wet od brzegu oddziela nas szeroki trawnik.

— Wiesz, Janiu, pobiegnijmy do alei kasztanowej, popatrzymy tylko na wodę i zaraz wrócimy. Nikt się nie dowie, żeśmy tam byli, — zaproponowała Maniuta.

Janio zgodził się na to chętnie i dzieci wzięwszy się za ręce, pobiegły na koniec grabowej alei, tam boczną ścieżką przerzuciły się na drugą stronę ogrodu i chyłkiem dopadły szerokiej alei, ocienionej wielkimi kasztanami. Tutaj roztoczył się przed nimi czarujący widok. Za szerokim, gęstą i wysoką trawą zarośniętym wybrzeżem połyskiwała srebrna tafla jeziorka, a na niej, niezbyt daleko od brzegu, wylaniała się krzaczasta kępa, niby ogromny zielony bukiet.

— Jak tu ślicznie! — zawołała Maniuta.

— Ciekawym, czy jest łódka przy naszym brzegu? — rzekł Janio.

— To, zobaczymy, — odparła dziewczynka zuchowato. Dzieci weszły na trawnik, za ledwie jednak dały dwa czy trzy kroki, gdy nagle z trawy podniosła się ku nim płaska trójkątna głowa o wypukłych oczach i cienkim, rozdwojonym na końcu językiem.

— Wąż! — krzyknęła Maniuta.

— Żmija!—poprawił przerażony Janio.—
Uciekajmy, bo nas ugryzie!

Z tymi słowami pochwycił siostrę za rękę i oboje poczęli biedz na przelaj, przez zarosła aby dalej tylko od niebezpiecznego trawnika. Zdawało im się nieustannie, że wąż goni za nimi, że słyszą jego syk groźny i strach sił im dodawał. Wreszcie drżące, przerażone i zdyszane dopadły do niani.

— Nianiu, ratuj, wąż nas goni! — zawołała Maniuta, jednym susem, wśkakając na kolana piastunki.

— Żmija nas ugryźć chciała! — dodał Janio, siadając bez tchu na ławce.

— Jaki wąż? jaka żmija? gdzie, w grabowej alei? — zapytała niania.

— Nie, na trawniku, nad brzegiem jeziora, — odparł Janio, zapominając, że ich wycieczka miała pozostać w tajemnicy.

— Ach, niedobre dzieci! Więc jednak złamaliście obietnicę i poszliście nad jezioro! Dziękować powinniście Panu Bogu za tego węża czy żmiję, bo to tylko miłosierdzie jego postawiło ją na waszej drodze, aby was od gorszego może ustrzedz nieszczęścia. Przy-

kro mi, że teraz ufać wam już nie będę mogła i nigdzie od siebie nie puszczę.

10. T e a t r.



Z za drzewa wysunęła się łódź.

Tego dnia po obiedzie upał był straszliwy. Janio i Maniuta siedzieli na werandzie smutni i oswiali, bawić im się nie chciało, wszystko wydawało im się nudne, stare i oklepane.

— Czemu nie bawicie się, dzieci?

— rzekła mamusia,

która z panną Heleną oczyszczała truskawki na konfitury.

— Kiedy nie wiemy w co, — odrzekła Maniuta.

— Wymyślcie sobie jaką zabawę wesołą i grzeczną, — poddała nauczycielka.

Dzieci przysunęły się do siebie i poczęły szeptać, aż wreszcie Janio krzyknął z tryum-

fem: „Już mam!” i począł coś siostrze opowiadać. Maniuta nie rozumiała widocznie z początku, o co mu chodziło, w miarę jednak opowiadania twarzyczka się jej rozjaśniała i w oczach błysnął nieklamany zachwyty.

— Dobrze, — rzekła po chwili, — jeżeli tylko mamusia da nam to wszystko.

— O co wam chodzi? — zapytała mama.

— Ach, mamusiu, wymyśliliśmy pyszną zabawę, — rzekł Janio, — ale potrzeba nam do tego dużej tygrysiej kapy i dwóch krzeselek. Czy mamusia pozwoli nam to wziąć do altany.

— Jeżeli nie podrzecie kapy i nie połamiecie krzeselek, to pozwolę, — uśmiechnęła się mama.

Uradowane dzieci ucałowały ręce mamusi i pobiegły do pokojów, skąd po chwili wyniosły nie tylko kapę i krzeselka, ale i jakieś paczki i zawiniątka, które z tajemniczemi minami przenosiły do altany. Do podwieczorku Janio i Maniuta byli bardzo zajęci i nikiogo do altany wpuścić nie chcieli. ◊

Dopiero po jedzeniu dygnęli uroczyście i zaprosili wszystkich zebranych na przedstawienie teatralne do altany. Naturalnie, że

wszyscy zgodzili się ochotnie, nawet pani Szarska obiecała się stawić, a tatuś i mamusia dali urlop służbie domowej, aby publiczność stawiała się w komplecie.

— Zadzwonimy, jak się będzie miało zacząć, — rzekł Janio, który był już w teatrze, i wiedział, jak się przedstawienie odbywać powinno.

Jakoż, kiedy na odgłos dzwonka widzowie stawili się na miejscu, znaleźli przygotowane dla siebie dwie ławki, na których miejsca zaznaczone były kredą i ponumerowane. Przed ławkami na sznurze zwieszało się prześcieradło, które opadło natychmiast i oczom zdumionych widzów ukazała się scena.

Podłoga altany usypana była grubo liściem i trawą, mającą wyobrazić bujną roślinność bezludnej wyspy, nieco z boku stały dwa dziwacznych kształtów drzewa, które bardzo były podobne do dwóch krzesel z poprzywiązanymi do nich i powtykanemi w wyplatanie gałązkami, a tuż przy nich porośnięta niebieska bibułka wyobrażała zbalwanione morze. Na trawie siedziała Maniuta w długiej nocnej koszuli mamusi, w wieńcu zielonym na rozpuszczonych włosach i patrzy-

ła z obawą na zwiniętą kape, która szczyrzyła do niej olbrzymie papierowe zęby. Nagle porwała się z miejsca i załamując ręce zawołała żałośnie:

— „Ach, ja nieszczęśliwa, jestem na bezludnej wyspie, tygrysy w koło mnie krążą, a niema nikogo, ktoby mnie uratował!”

Jakby na to wezwanie z za drzewa wysunęła się łódź, a była nią wanienka, przy-mocowana do biegunów po starym koniu, a w niej stał dziki indjanin w białych majteczkach i czarnej bluzce mamy, w kogucim pióropuszu na głowie, sam czarny jak węgiel, którego widać użył nie mało. Ujrawszy wystraszoną dziewczę krzyknął przeraźliwie: „Rata plata, kuku, tiu! — co miało pewnie zaznaczyć: „pani, jestem twoim obrońcą!” wyskoczył z łodzi, padł plackiem na ziemię i postawił sobie nogę białej damy na głowie. Wprawdzie od dotknięcia rąk indjanina na białej koszuli mamusi zostawały czarne plamy, ale to nie psuło wrażenia. Odbywszy ten ceremonjał, indjanin wsadził do ludzi białą damę i sam wskoczył, potrząsając przed nosem osłupiałego widocznie tygrysa wielką dzidą. W tej chwili jednak zaszedł zgoła

nieprzewidziany wypadek. Morze musiało być bardzo niespokojne, gdyż łódź zakołysała się tak nagle, że wanienska wywróciła kozła, przykrywając sobą białą damę i czarnego indjanina. Rzucono się natychmiast na ratunek i wydobyto Maniutę z podrapanym noskiem, Jania zaś z guzem na czole. Ten wypadek przerwał przedstawienie z wielkim żalem widzów, którzy aż się za boki od śmiechu trzymali.

11. Polne koniki.



Skąd jak kule stoczyli się na trawnik.

Janio i Maniuta pomimo swoich bardzo dobrych serduszek, byli tak rostrzepani, że nigdy się nad niczem nie zastanawiali i przez to nieraz rodzicom i nauczycielce przykrość, a sobie krzywdę i szkodę wyrządzali.

Pewnej niedzieli niania ubrała je starannie, niż zwykle, w białe czyściuchne i strojne ubranka, rodzice bowiem spodziewali się kilku osób z sąsiedztwa.

— Tylko proszę bawić się grzecznie i ubranek nie powalać, — ostrzegła mama, — bobym was musiała przedstawić gościom, jako niepoprawnych brudasów.

Janio i Maniuta obiecali zwracać na siebie uwagę i mamusia odeszła do swoich zajęć. Do obiadu było wszystko w porządku i dzieci czyste i nie pogniecione zasiadły do stołu. Po obiedzie jednak ta nieustanna baczność męczyć ich zaczęła i wraz bardziej puszczali wodze wrodzonej żywości.

Wkrótce usłyszeli turkot zajeżdżającego przed ganek powozu.

— Goście już są, — rzekła Maniuta. — Czy pójdziesz się przywitać?

— Ani myślę, — odparł Janio, — Wolę się bawić.

— I ja wolę, — zgodziła się dziewczynka. — Chodźmy dokąd.

— Chodźmy do sadu na piwnicę, będziemy zbiegać z górki na pazurki.

Maniuta z zapalem przyjęła projekt brata

i dzieci ostrożnie, aby ich z werandy nie spostrzeżono przemknęły się do sadu.

Ogrodowa piwnica, w której przez zimę trzymano warzywo, była duża, wysoko sklepiona i obłożona z zewnątrz ziemią i darnią przez co wyglądała zdaleka, jak mały zielony pagórek. Ściany tego pagórka były jednak tak strome, że dzieci z trudnością zaledwie wdrapały się na jego wierzchołek.

— Ja nie będę zbiegać, bo napewno bym się przewróciła, — rzekła Maniuta.

— To zjeżdżaj; nie masz pojęcia, jak to przyjemnie zjeżdżać. Peczekaj, zaraz ci pokażę, jak się to robi.

Janio siadł na trawie i począł zjeżdżać po stromym spadku, Maniuta, naturalnie poszła za jego przykładem.

— E, wiesz co, — rzekła, kiedy stanęli na ziemi, — ja teraz nie będę zjeżdżać, tylko bałykować się z góry, to jeszcze przyjemniej.

Janio nie dał sobie dwa razy powtarzać tej zachęcającej propozycji i oboje wdrapali się znowu na wierzchołek piwnicy, skąd jak kule stoczyli się na trawnik. Ta zabawa tak im się podobała, że powtarzać ją zaczęli bez upamiętania. Rzecz prosta, że po kilkakrot-

nym przekulaniu się po wysokiej, soczystej trawie sukienki dzieci nabrały ślicznych zielonych plam, które w miarę przedłużania się zabawy rozszerzały się coraz bardziej, aż wreszcie nadały dzieciom wygląd olbrzymich biało-zielonych koników polnych.

— Boże, jak my wyglądamy! Co mamusia powie! — zawołał Janio, który zauważył wreszcie zniszczenie, jakie zabawa sprawiła w ich strojach.

Maniuta spojrzała na brata, potem na siebie i zalała się łzami.

— Janiu, Maniuto! gdzie jesteście? — odezwał się z grabowej alei nawołujący głos nauczycielki.

— Tutaj! — odparły dzieci i drżące, wystraszone posunęły się ku wyjściu z sadu.

Ujrzawszy ich, panna Helena pospieszyła ku nim i nagle stanęła jak wryta.

— Boże, co to jest? Jak wy wyglądacie? — zawołała zgnębiona.

— Ach, niedobre, nieposłuszne dzieci, — dodała po chwili z wyrzutem, — zasługujecie, aby was w takim stanie gościom pokazać. Nie chcę jednak robić wstydu tatusiowi i mamusi, zamknę więc was tylko w szkolnym

pokoju i nie dam do wieczora nic, prócz chleba i wody.

Teraz i Janiowi łyzy się rzuciły do oczu, panna Helena jednak była nieubłagana i wymierzyła im karę, na jaką zasługiwali.

12. Maniuta w beczce.



Wiernusia zaprowadziła go do beczki.

— Nianiu, tak mi się nudzi,—narzekała Maniuta, siedząc na trawie pod kasztanem, gdzie mały Ryś bawił się przy niani dwoma pajacami.

— Rysiu, pójdziesz hajty?—zapytała niania.

— Nie ciem, — brzmiała stanowcza odpowiedź maleństwa.

— To ty się przejdź z Fruzią, Maniuto,—rzekła niania, — tylko nie odchodź nigdzie daleko.

— Dobrze, nianiu,—odparła dziewczynka, której oczki błysnęły zadowoleniem.

Był to dzień targowy w sąsiednim mieście, więc ogrodnik z ogrodnikiem powieźli na sprzedaż jarzyny i owoce, tatuś zaś i mamusia pojechali po nowe chomąta i jakieś tam zapasy śpiżarniane. Maniuta wiedziała zatem, że w ogrodzie nikogo niema i postanowiła zajrzeć do truskawek, które wczoraj tak się ślicznie na rabatach różowiły.

— Nianiu, — rzekła, podnosząc się z miejsca, — przejdę się po grabowej alei i zaraz wrócę.

— Dobrze, — odparła z roztargnieniem niania, — poprawiając kapelusz pajaca, który Ryś zdarł mu przypadkiem z głowy.

Od grabowej alei boczna ścieżka prowadziła wprost do sadu i dziewczynka skierowała się w tę stronę. Niestety, na rabatach nie było już tych pięknych truskawek, które widziała wczoraj, przez noc jednak dojrzało tyle, że mogło wystarczyć dla dziesięciu nawet takich łakotniś, jak Maniuta.

Dziewczynka bez namysłu porzuciła Fruzię na środku ścieżki, sama zaś przysiadła w bródce pomiędzy rabatami i zaczęła się raczyć smaczniemi i ślicznie pachnącemi jagodami, oglądała krzaczek po krzaczku i wszyst-

ko, co się za ledwie rumienić zaczynało, pakowała do buzi. Wreszcie poczuła, że ma dosyć.

— Trzeba wracać—pomyślała i podniosłszy się ociężale, skierowała się ku budce ogrodnika. Po drodze jednak schylała się raz po raz i coraz to nową porcję dorzucała do przepelnionego już żołądka. Nagle tuż przy budce ogrodnika poczuła, że robi się jej niedobrze. Wystraszona przyspieszyła kroku, ale w tej samej chwili zakreśliło się jej w głowie, potknęła się i wpadła w olbrzymią wkopaną beczkę, w której ogrodnik trzymał wodę. Wprawdzie tym razem wody [nie było, ale beczka była tak głęboka, a ściany jej tak śliskie, że o wydostaniu się z niej bez pomocy nie mogło być nawet mowy. Maniuta zaczęła krzyczeć i wołać ratunku, ale sad był dość oddalony od domu, a przytem przepelniony żołądek zaczął wyrzucać zbyt ciężar, więc padła osłabiona na dno beczki i tylko jęczała cicho.

Tymczasem niania, zaniepokojona tak długą nieobecnością Maniuty, udała się z Rysiem na poszukiwania nieposłusznej dziewczynki. Niestety, pomimo coraz głośniejszych

nawoływać, Maniuty nie było. Wtedy wystraszona naprawdę kobieta udała się o pomoc do panny Heleny.

Nauczycielka przerwała natychmiast lekcje z Janiem, zawezwała Marcysię i dziewczynę folwarczną i wraz z nimi zaczęła nownie poszukiwania.

W tej chwili przed dom zajechali rodzice.

— Co to jest? co wam się stało?—zapytała mama, ujrawszy zapłakaną nianię.

— Maniuta zginęła, — wyjąkała przez łzy kobieta.

Na tę wiadomość mama zbladła straszliwie i nie słuchając szczegółów wypadła do ogrodu, wołając rozpaczliwie jedynaczki.

Na szczęście tatuś nie stracił głowy. Wbiegł do dziecinnego pokoju, porwał leżący na krześle fartuszek dziewczynki i dawszy go do powąchania Wiernej, zawołał łagodnie: „Szukaj, Wiernusiu, szukaj”.

Zmyślna suczka, obwąchała fartuszek, szczeknęła krótko, jakby na znak, że zrozumiała, o co chodzi, potem wbiegła na trawnik, węsząc niespokojnie, aż wreszcie pobiegła ku grabowej alei, a stamtąd ścieżką wprost do sadu. Tatuś patrzył na nią uważnie i po-

spieszy. za poczciwą psiną, która węchem nieomylnym wiedziona doprowadziła go wprost do becзки. Tatuś pochylił się zdumiony i ujrzał na dnie skuloną, trupio bladą i nawpół nieprzytomną Maniutę. Przerażony, wydobył ją czempredzej i zaniósł do łóżečka. Trudno opisać radość mamusi ze znalezienia jedy-naczki. Natychmiast zajęła się gorliwie ra-tunkiem, gdyż Maniuta z przejedzenia się ja-godami, z płaczu i wstrząśnienia rozchorowała się poważnie. Wypadek ten wyszedł jednak dziewczynce na dobre, gdyż wyleczył ją zu-pelnie z łakomstwa.

13. Rozbiegane konie.



Ślady, jak trup, Janio lada chwila
|oczekiwał rozbicia.

Smutno było Janiowi podczas, choroby Maniuty, smutno i nudno, to też ucieszył się podwójnie, kiedy dziewczynka blada jeszcze, ale już rzeżka i wesoła ukazała się wresz-cie w szkolnym pokoju.

— Wiesz, Maniuto, — rzekł uradowany, — tatuś powiedział, że na uczczenie twojego powrotu do zdrowia, da nam wolant, żebyśmy po obiedzie pojechali na spacer do Skały.

— To też pospieszmy się z lekcjami, — rzekła dziewczynka, — żeby się nam nic na po obiedzie nie zostało.

I pilniej, niż kiedykolwiek zabrała się do przepisywania liter z książki.

Po obiedzie tatuś rzeczywiście dotrzymał obietnicy i przed ganek zajechał wolant, zaprzężony parą dzielnych cugowych siwoszów. Panna Helena z Maniutą zajęły tylne miejsca. Janio zaś wprosił się na kozioł do Wojciecha.

Droga do Skały prowadziła przez las, a potem przez dość wysoką górę, za którą znajdowała się płaska równina, zakończona wysoką i nagą kamienną skałą, od której poszła nazwa tej miejscowości.

Janio całą drogę nudził Wojciecha, aby mu pozwolił powozić, ale stangret lękał się jakiegoś wypadku, konie bowiem wystale były i młode

Dopiero pod górą oddał Janiowi lejce i sam zeskoczył z kozła

— Ale niech ich panicz batem nie łechce,—rzekł ostrzegająco,—bo one tego bardzo nie lubią, a i droga ciężka.

Janio z dumą zagarnął lejce i zaczął cmokać na konie, które wolno ciągnęły wolańt po dość stromej i kamienistej drodze. Za przykładem Wojciecha i panna Helena wysiadła z powozu, Maniuta tylko rozparła się wygodniej i zawołała ze śmiechem.

— Teraz ja jestem pani, a Janio mój furman. Prędszej, Franciszku, popędźcie - no tam konie, bo ja się bardzo spieszę.

Na ten rozkaz Janio świsnął batem, aż konie stuliły uszy i szarpnęły się naprzód.

— Ostrożnie, paniczu! — krzyknął Wojciech. — Niech panicz stanie. Już koniec góry, to i pani już wsiądzie.

Ale Janiowi zbyt zasmakowała zabawa, aby tak szybko mógł ustąpić. Zamiast wstrzymać konie, cmoknął na nie i po raz drugi poczęstował je batem, siwosze chrapnęły z oburzenia, a nie czując zwykle kierującej nimi ręki, wzięły na kiel i pędem poczęły zbiegać ze spadzistości.

— Jezus, Marja! — krzyknął Wojciech, — paniczu, niech panicz lejce trzymał

Janio i Maniuta w pierwszej chwili śmieli się z przerażenia Wojciecha, ale kiedy bieg koni zaczął przechodzić w jakieś szalone tempo i wiatr świsnął im tylko koło uszu, przerażili się nie na żarty i Janio zaczął ściągać lejce z całej siły. Ale przechodziło to jego możność i rozszalałe rumaki pędziły dalej na oślep, a lekki wolant tak podskakiwał na wybojach, że dzieci musiały się obu rękami trzymać krawędzi, aby nie wypaść na drogę.

Maniuta zaczęła krzyczeć przeraźliwie, lecz krzyk ten zdawał się jeszcze bardziej podniecać konie. Już przed oczami dzieci coraz wyraźniej występowała kamienna skała z wijącą się u jej stóp rzeczką, już blady jak trup Janio lada chwila oczekiwał rozbicia się o kamień lub utonięcia, gdy na drodze ukazały się ładowne wozy, zdążające widocznie do miasteczka. Ujrzawszy rozbiegane konie, ciągnące za sobą wolant z dwojgiem dzieci, wieśniacy powyskakiwali z wozów i w chwili, kiedy siwosze przebiegały obok nich, pochwytili je przy pyskach i osadzili na miejscu. Podczas, kiedy czterech wieśniaków trzymali niespokojne konie, dwóch innych zbliżyło się do dzieci, by przekonać się, czy się im nic nie stało i jaka była przyczyna wypadku.

Po chwili przybiegł zziębły Wojciech, do reszty uspokoił konie, podziękował wieśniakom za pomoc i zawrócił z powrotem, panna Helena bowiem została na drodze płacząca i zrozpaczona.

— Już nigdy nie dam paniczowi powozić, — odgrażał się Wojciech, kiedy wreszcie uspokojona panna Helena wsiadła do powozu. — Panicz nie zna się z końmi, a starszych słuchać nie chce. Aż mi dech zaparło, jak siwe tak nagle poniosły i modliłem się tylko do Najświętszej Pani o ratunek.

Tatuz, dowiedziawszy się o wypadku, pogniwał się również na Jania i skarcił go surowo.

14. Nowi goście.

Pewnego dnia przyszedł do tatusia list od jego siostry, cioci Wandzi, w którym ta ostatnia donosi, że przyjedzie do Górek na całe wakacje i prosi o przysłanie koni na stację.

Usłyszawszy tę wiadomość, Janio i Maniuta klasnęły w ręce, ciocia Wandzia bowiem miała troje dzieci, synka i dwie córeczki w wieku mniej więcej Milusińskich.

— Cieszę się bardzo [na przyjazd Wandzi, — rzekła mama.



Maniuta urządziła walne pranie.

— I ja się cieszę,
— odparł tatuś, —
obawiam się tylko,
że jak ta mała cze-
reda zacznie hałaso-
wać, to moje popo-
łudniowe drzemki w
łeb wezmą.

— Ach, nie, tatu-
siu, — zawołał Ja-
nio. — My będziemy
bardzo grzeczni
i uważni.

— Wyobrażam sobie tę waszą grzeczność
i uwagę, aż na mnie skóra ze strachu cierp-
nie, — zaśmiał się tatuś. — Dwoje was jest,
a niema dnia bez kłopotu, a cóż dopiero,
jak będzie pięcioro. No, bawcie się zresztą,
jak chcecie, zapowiadam wam tylko, — do-
dał poważnie, — że jeżeli spotkam które w
stronie jeziora lub w sadzie na niedojrzałych
gruszkach lub jabłkach, ukarzę tak surowo,
że popamiętacie długo.

— Przypuszczam, że będą pamiętały o

twoim nakazie, — wtrąciła się łagodząco mama, — zresztą dzieci cioci Wandzi są podobno bardzo dobre.

— Ale takie same bisurmany, jak nasze, — rzekł tatuś. — Żal mi tylko panny Heleny, która będzie miała urwanie głowy z taką gromadą.

— Damy sobie jakoś radę, — uśmiechnęła się nauczycielka.

Pomimo tych obaw tatusia dzieci cieszyły się bardzo na zapowiedzianych gości, a Maniuta urządziła nawet walne pranie dla swoich dwóch pociech, Fruzi i Zuzi, aby godnie wystąpić mogły.

— Nie pozwól im tylko oddalać się od domu, — rzekła panna Helena, — bo zaraz pójdą na piwnicę i pozielenią sobie sukienki.

Maniuta splonęła rumieńcem na to przypomnienie, a Janio udał najwyraźniej, że go nie słyszy.

Nastąpił nareszcie dzień przyjazdu upragnionych gości. Tatuś posłał od rana konie na stację, dzieci zaś tak były roztargnione, że lekcje dnia tego poszły bardzo kulawo.

— Warteście, żeby się ciocia rozmyśliła, i nie przyjechała wcale, — rzekła surowo

nauczycielka, ale w tej chwili przed domem rozległ się turkot kół i palenie z bata.

Dzieci porwały się gwałtownie i zostawiając porozrzucane książki i kajety, rzuciły się ku drzwiom, jak wichher przebiegły przez pokoje i wpadły na ganek, gdzie ciocia Wandzia witała się z tatusiem i mamusią.

— Jak się masz Zygmus! — wołał Janio rzucając się na szyję cokolwiek starszemu od siebie ciotecznemu bratu, podczas kiedy Maniuta ścisnęła uradowana Lorke i Hele.

— Dzieci, a mnie to nie powitacie! — zawołała ciocia, nadstawiając ręce, w które dzieci wpadły z głośnym okrzykiem radości.

— Teraz to dopiero będzie prawdziwa zabawa, — dowodził Janio, kiedy wszyscy zasiedli do obiadu. — Prawda, tatusiu, że w pięcioro daleko łatwiej jest wymyślić jakąś zabawę, niż we dwoje?

— A naturalnie, — odparł tatuś ze sztuczną powagą. — To też proszę panny Heleny o urlop dla was od lekcji na cały tydzień. Będzie to podarunek ode mnie na nadchodzące twoje imieniny.

Janio o mało nie krzyknął z radości, ale ponieważ to było przy stole, rzekł więc tylko:

— Nie mogę wstać, ale po obiedzie podziękuję tatusiowi bardzo, bardzo.

15. Imieniny.

Słowa tatusia wywołały wśród dzieci ogromny niepokój.



Dary imieninowe Jania.

Od tej chwili zaczęły się jakieś szepty, narady z mamusiarni, ciotką i panną Heleną, a nawet raz udano się z jakąś prośbą do tatusia.

Janio tylko był stanowczo wyłączony od tych narad. Kiedy zjawiał

się pomiędzy rodzeństwem, szepcząca gromadka chowała coś szybko i rozbiegała się na wszystkie strony, albo bez ceremonji wyprasała go od siebie.

— Mój Janiu, — mówił nie znoszącym oporu tonem Zygmus, — możebyś poszedł bawić się gdzieindziej, bo my tu mamy coś do pomówienia.

Biedny Janio odchodził markotny, a dziewczynki śmiały się uradowane. Wreszcie biedny chłopczyk nie mógł wytrzymać dłużej i poszedł do mamy po pociechę

— Czemu oni nie chcą się bawić ze mną, mamusiu — rzekł ze łzami. — Ja się tak cieszyłem na ich przyjazd, myślałem, że Zygmunt będzie moim przyjacielem, a on ciągle coś szeptem z dziewczynkami.

— Nie martw się, synku, — rzekła mamusia, całując go serdecznie. — Jest to fantazja, która prędko przeminie i wkrótce oni sami przeproszą cię za swoje niemądre zachowanie. Ot, wiesz, co ci poradzę, poproś panny Heleny, aby miewała z tobą lekcje przez ten czas, a jak się pogodzicie, to ci tatuś o tyle dni wakacje twoje przedłuży.

— Dobrze, mamusiu, — odparł chłopczyk, całując mamę w rękę i poszedł do panny Heleny.

Nauczycielka chętnie zabrała się z nim do roboty i tak go umiała zająć, że ani się spostrzegł, kiedy nadeszła godzina podwieczorku.

Potem wszystkie panie poszły z dziećmi nad jezioro i czas przeszedł Janiowi jako tako.

Następny dzień był jeszcze gorszy niż poprzedni, — dzieci wprost uciekały przed Janiem. Chłopczyk jednak nie nudził się i nie skarżył już wcale. Najprzód odbył lekcje z panną Heleną, potem rozmawiał z ciotką, potem zajrzał z panią Szarską do cieląt, a przed wieczorem poszedł z tatusiem w podwórze.

Tego dnia mamusia wyprawiła dzieci spać wcześniej, niż zwykle, a one ku zdziwieniu Jania zgodziły się na to chętnie, przykazując tylko coś pocichu Marcysi-pokojówce.

Nazajutrz około dziewiątej zrana obudził Jania śpiew chóralny.

„Zapiał kogut kukuryku!

„Zbudź się Janiu, mój chłopczyku!

„A Janio się ze snu budzi,

„Patrzy... gwałtu! co tu ludzi,

„Każdy dar mu ofiaruje,

„I całuje i winszujel!”

Chłopczyk usiadł na łóżku i przecierając oczy patrzył na stojące przy nim rodzeństwo, na mamusię i tatusia, na ciotkę i pannę Helenę, które z uśmiechem patrzyły na niego.

— Wiwat! niech żyje Janio w dzień swa

ich imienin! — zawołał Zygmus, który sam wymyślił to uroczyste powitanie solenizanta.

Wtedy tatuś wystąpił pierwszy i ucałowawszy synka ofiarował mu przedmiot jego marzeń, długie buty z błyszczącej lakierowanej skórki, potem mamusia dała mu portmonetkę z pięcioma złotymi w środku, ciocia położyła przed nim czerwono oprawną książkę, panna Helena wspaniały album do pocztówek, a rodzeństwo..... ach, czego mu ono nie nadawało!

Zygmus łuk i kołczan ze strzałami własnego wyrobu, prześlicznie złotem i farbami malowany, Lorcja lejce skórzane, Hela pas z korkowymi ładunkami i ślicznie wyszywaną torbę myśliwską. Uściskom i pocałunkom nie byłoby może końca, gdyby tatuś nie zawołał energicznie:

— No, dzieciarnia, marsz z pokoju! przez miłość gotowicie go cały dzień przetrzymać w łóżku, a przecież mamy dziś pojechać łódką na kępę.

Na to wezwanie pokój opustoszał w jednej chwili i Janio wyskoczył z łóżka, a w dziesięć minut potem wymyty i wyświeżony raz jeszcze dziękował wszystkim za tak hojne dary.

Dzień przeszedł bardzo wesoło. Pani Szarska wystąpiła przy obiedzie z olbrzymim tortem hiszpańskim i tacą wybornych ciastek, to też Janio przy częstowaniu cukierkami nie zapomniał i o poczciwej gospodyni.

16. Przyjaciele.



W tem, nagle huknął strzał.

Od czacu imienia Janio uważał Zygmunia za chodzącą doskonałość, wpatrywał się w niego z uwielbieniem i każdy jego pomysł przyjmował bezkrytycznie. Obie mamusie widziały tę nadzwyczajną miłość i ucieszyły się, że chłopcy kochają się tak bardzo, że zatem obaj będą sobie pomagać w nauce, kiedy razem na przyszły rok pójdą do klasy pierwszej. Janio miał większe zdolności do języków, Zygmund do matematyki, uzupełniali się więc wzajemnie i wzajemnie sobie pomagać mogli. Jedno tylko posiadali

w równym stopniu, a mianowicie jednakową chęć do psot i figlów różnych.

— Powiedz mi, Janiu, — rzekł pewnego dnia Zygmus, — czy wy nigdy nie chodzicie do pokoju tatusia? Od naszego przyjazdu nie byliśmy tam ani razu.

— Bo tatuś nie lubi, żebyśmy tam się bawili,—odparł Janio; — ale, jeżeli chcesz,—dodał z gotowością,—to możemy tam pójść natychmiast.

— Chciałbym zobaczyć, czy wujek ma dużo strzelb i jakich, bo mój tatuś ma dwie, szesnastkę i dwunastkę, — rzekł Zygmus.

— Ja nie wiem, co to znaczy szesnastka i dwunastka,—zauważył Janio, patrząc z podziwem na tak mądrego braciszka.

— Szesnastka to taka cieńsza co śrutu na zające i kuropatwy, a dwunastka, to grubsza do kuli na dziki, jelenie i inne duże zwierzęta, — objaśniał z miną znawcy Zygmus.— A ty czy masz fuzję?

— Mam. Strzelam z niej korkowymi nabojami.

— To dobrze. Musimy ją wypróbować później, a tymczasem chodźmy obejrzeć prawdziwe fuzje.

Chłopcy przemknęli się pocichutku przez pustą w tej chwili bawialnię i wsunęli się do gabinetu tatusia. Tutaj nad szeroką otomaną, na wielkich jelenich rogach wisiały cztery dubeltówki różnego systemu i kalibru, pod nimi zaś, na aksamitnym podłożu krzyżowały się dwie pradziadowskie karabele.

— O jej, co wujek ma dubeltówek! — zawołał Zygmus, — pewnie, jak będziesz starszy, to ci jedną da?

— Tak, — potwierdził Janio. — Tatuś mówił, że jak skończę cztery klasy, to mi da jedną fuzję i sam mnie nauczy strzelać.

Chłopcy weszli na sofę i nie bacząc, że ich buciki zostawiają brudne ślady na delikatnej skórze obicia, poczęli się przyglądać rozwieszanej broni. Ponieważ jednak wisiały zbyt wysoko, aby je można było zdjąć z rogów, przeto patrzenie sprzykrzyło im się wkrótce i zaczęli myszkować po całym pokoju.

Zygmusia zainteresowało przede wszystkim biurko wujka. Oglądał je ze wszystkich stron, każdy przycisk brał do ręki, aż wreszcie zaczął pociągać za antaby przy szufladach. Otóż przy takim pociąganiu środkowa szuflada wysunęła się nieco i chłopcy ujrzeli

leżący na wierzchu jakiś błyszczący przedmiot.

— Patrz, Janiu, rewolwer! — zawołał rozpromieniony Zygmus. — Ciekawym, czy nabity?

Chłopcy zaczęli oglądać błyszczące cacko, potem Zygmus wziął je do ręki i zaczął się składać, jakby do strzału.

— Ostrożnie, — przestrzegął go Janio, — bo może i pewnie nawet jest nabity.

— Nie bój się, — ja już nieraz miałem rewolwer w ręku i umiem się z nim obchodzić, — odrzekł zarozumiale Zygmus.

W tem nagle huknął strzał i kula strzaskawszy szkło i przedziurawiwszy obraz utkwiała w ścianie za portretem mamusi.

Chłopcy zdrętwieli z przerażenia. Zygmus rzucił rewolwer do szuflady, którą zasunął gwałtownie i wcisnął się w najciemniejszy kąt pokoju. Janio pozostał na środku.

Tymczasem na odgłos strzału do gabinetu wbiegli wszyscy domownicy z tatusiem na czele.

— Co to jest, Janiu? Dlaczego wszedłeś bez pytania do mego pokoju? — zapytał tatuś groźnie.

— Ja... ja... chciałem tylko zobaczyć... ile tatuś ma fuzji i... i rewolwer sam wystrzelił... — jękał się Janio, uszczęśliwiony w duszy, że tatuś nie widzi Zygmunia.

— Otworzyłeś szufladę, niedobry chłopcze i wziąłeś rewolwer, choć wiesz, że zabroniłem wam surowo dotykać się broni!—ciągnął jeszcze surowiej tatuś. — Za karę pójdziesz do szkolnego pokoju i będziesz tam siedział do samego wieczora o chlebie i wodzie. Marsz!

Janio spuścił główkę, zagryzł usta, ale nie rzekł nic i pokornie skierował się ku drzwiom.

— Wujku, Janio nie winien! To ja go namówiłem i przyprowadziłem tutaj! Ja otworzyłem szufladę i wziąłem rewolwer!—zawołał, wyskakując z kąta Zygmunt.

— Ty! — jęknęła ciocia Wandzia. — Ty, Zygmunciu, myszkujesz po cudzem mieszkaniu i namawiasz młodszego brata do złych czynów! O! jakiż to ból i wstyd dla mnie! Czy wiesz, nieszczęsny chłopcze, że mogłeś go zabić, równie przypadkowo, jak przestrzeliłeś portret! Wobec tego nie mogę pozostać tutaj dłużej i jutro wracamy do Warszawy.

— Mamusiu, wujku, nie gniewajcie się na mnie! — błagał, zalewając się łzami Zygmusz, — przyrzekam, że nigdy już tego nie zrobię!

— Daruj mu, Wandziu, i ty Józiu wybaczyć chłopcom, — wstawiła się za nimi mamusia. — Jestem pewna, że żałują swego czynu i nigdy już bez pytania nie wejdą tutaj.

— Wybaczyć im mogę, karę im nawet daruję, — rzekł poważnie tatuś. — Niestety jednak nie mogę im powrócić zaufania, jakie miałem i od dzisiaj będę zamykał przed nimi mój pokój na klucz, jak przed tymi, których się strzedz należy.

17. Przynęta na muchy.



Pan Blum i muchy.

Dużo upłynęło czasu, zanim chłopcy odzyskali wesołość. Szczególniej Janio odczuł przygodę z rewolwerem bardzo głęboko, mamusia bowiem wzięła go wieczorem i długo z nim rozmawiała poważnie, jak baczny

i na każdy swój czyn zważającym musi być każdy chłopczyk, jeżeli chce na szlachotnego i uczciwego wyrosnąć człowieka. Janio powtórzył tę rozmowę Zygmuśowi i obaj przyjaciele tak ją wzięli do serca, że przez kilka dni chodzili jak struci. Dziewczynki, widząc smutnych braci, także potraciły humory i mała gromadka snuła się po domu milcząca i osowiała.

Tatusiowi żal się wreszcie zrobiło biedaków i chcąc okazać, że zwraca im całkowite zaufanie swoje, rzekł pewnego dnia po obiedzie:

— Chłopcy, macie tutaj klucz od gabinetu, przynieście mi puszkę z tytoniem, a klucz zostawcie we drzwiach.

Chłopcy porwali się uradowani, spełnili polecenie i postawiwszy puszkę na stole, jakby jedną myślą wiedzeni, rzucili się panu Rajskiemu na szyję.

— Tatusiu! Wujku kochany!—zabrzmiały dwa wzruszone głosiki.

— No dobrze, już dobrze, wszystko w porządku, — rzekł tatuś. — Idźcie, bawcie się, figlujcie, pamiętajcie tylko, aby figle wasze

nikomu nie szkodziły i plamy na was samych nie rzucały.

Od tej chwili znowu się gwarno i wesoło w domu zrobiło, ale, niestety, wraz z wesołością pojawiły się znowu figle i psoty niezawsze ze słowami tatusia zgodne.

Pewnego razu zjechali do tatusia sąsiedzi na jakąś gospodarską naradę, a pomiędzy nimi i pan Blum, dzierżawca sąsiedniego majorackiego majątku, gruby, opasły i łysy Niemiec, który nawet źle mówił po polsku. Pan Blum miał widocznie bardzo wrażliwą na czaszce skórę, bo jak mu tylko mucha na łysinie usiadła, zaraz się tłustą dłonią bił po głowie.

Dzieci, siedząc na szarym końcu przy stole, zauważyły ten częsty ruch pana Bluma i oczy zaśmiały się im tłumioną wesołością.

— Słuchajcie, — szepnęła Lorcja, — jak nam tylko wstać pozwolą, pójdziemy do pani Szarskiej i poprosimy o trochę miłkiego cukru, a Zygmunt albo Janio posypią mu go na łysinę. Wszystkie muchy z całego pokoju zlecą się do niego.

— To się dopiero będzie walił, — odszepnął Zygmunt i zagryzł usta, aby nie wybuchnąć śmiechem.

— Ja mam miarki cukier przy sobie, bośmy z Helą miały wyprawić bal dla lalek. Chcecie, to go wam zaraz dam — rzekła cichutko Maniuta.

Po chwili zwinięty paperek przewędrował pod stołem od Maniuty do Zygmunta. Ten wysypał sobie odrobinę cukru na rękę i resztę oddał Jasiowi, który zrobił to samo.

Zachęcone tym przykładem dziewczynki wzięły również po szczypcie cukru i czekały niecierpliwie.

— Możecie wstać, dzieci, — rzekła mamusia, widząc, że Milusińscy zaczynają się kręcić niecierpliwie.

Dzieci wstały cichutko, dygnęły grzecznie gościom i obeszły stół dokoła, aby podziękować mamusi i tatusiowi, przyczem każde nieomieszkało sypnąć swojej szczypty cukru na łysinę upatrzonej ofiary. Czyniły to jednak tak zręcznie i nieznacznie, że nikt tego nie spostrzegł. Jeden tylko młody sąsiad, siedzący naprzeciwko niemca, dostrzegł ten manewr, ale uśmiechnął się tylko pod wąsem i spuścił oczy na talerz.

— Mamusiu, czy możemy posiedzieć jeszcze chwilkę na otomanie? — szepnął Janio,

całując mamę w rękę. — Chcielibyśmy posłuchać, o czem panowie mówić będą.

— Możecie, — odparła mamusia, — tylko bądźcie grzeczni, abyście nie przeszkadzali starszym.

Niesforna piątka zasiadła cichutko i z miną pełną oczekiwania wpatrzyły się w łysinę pana Bluma. Jakoż po chwili najprzód jedna mucha, potem druga, aż wreszcie wszystkie muchy z pokoju obsiadły łysinę Niemca. Biedak tłukł się niezmiernie po głowie, ale one zrywały się przezornie przed uderzeniem i znowu spadały łakomie.

— Co te muchy tak się zawzięły na pana? — rzekł ów młody sąsiad do pana Bluma.

— Nie wiem. To taka zawzięta ofada, ciągle mi mój klóf kryzie, — odparł Niemiec.

Tego już dzieci wytrzymać nie mogły, i zapomniawszy o przyzwoitości, z głośnym śmiechem wybiegły z pokoju.

Mamusia i tatuś spojrzeli na siebie zgorzeleni i postanowili po odjeździe gości rozmówić się z dziećmi.

Jakoż wieczorem wydała się cała sprawa, ale tatuś nie śmiał się z tego i rzekł surowo:

— Zrobiliście nam wstyd, boście zapom-

nieli, że jesteście dziećmi tej ziemi, która od wieków słynęła z gościnności. Od dziś nie będziecie siadali do stołu z gośćmi, dopóki nie zrozumiecie obowiązków, jakie na was wkłada nasz stary obyczaj narodowy.

18. Dom na kasztanie.



po chwili wszyscy spadli na piasek

W ogrodzie przed werandą był olbrzymi staw, przeznaczony do zabawy dla dzieci. Pośrodku trawnika rósł olbrzymi odwieczny kasztan, pamiętają bardzo odległe czasy. Pień jego niezmiernie gruby, rozrastał się w trz równie grube konary, które pośrodku utworzyły obszerne wklęsnięcie rodzaju niby wielkiego gniazda. Gałęzie kasztana, gęste i mocne, rozchodziły się daleko, tworząc zieloną kopułę, przez którą nie miały siły przedrzeć się promienie palącego słońca. To też pod kasztanem było zawsze chłó-

dno i nie tylko dzieci, ale i starsi chętnie w tej naturalnej altanie przebywali.

Pewnego razu cała piątka zebrała się tutaj na walną naradę, jakaby tu niepowszednią wymyślić zabawę.

— Bawmy się w chowanego, — zaproponowała Hela.

— Nie, to głupia zabawa, my chcemy coś mądrzejszego, — odparł Janio.

— To w Berka, — rzekła Maniuta.

— Nie mam ochoty biegać po takim upale, — mruknął Zygmus, a Janio zgodził się natychmiast ze zdaniem braciszka.

— To sobie wymyślajcie sami, — obrazily się dziewczynki i odwróciły się od chłopców, szepcząc coś pomiędzy sobą.

— My też tak zrobimy, — odparł z dumą Janio.

— Ja nawet mam myśl, tylko nie wiem, czy uda się nam ją wykonać.

— Jaką, mój złoty, powiedz jaką? — zawołały siostrzyczki, zapominając pod wpływem ciekawości, o obrazie, a i Zygmus podniecał go do mówienia.

— Zabawmy się w „Robinsona Szwajcarskiego“, — rzekł Janio.

— Dobrze, ale zdaje mi się, że będzie to trudno,—rzekł Zygmus z powątpiewaniem.

— I my nie wiemy, co to za Robinson Szwajcarski, — dorzuciły dziewczynki.

Wtedy Janio opowiedział im historję szwajcarskiej rodziny emigrantów, która z rozbitego statku dostała się na bezludną wyspę.

— Zygmus byłby ojcem, Lorcia mamą, a my ich trzema synami,—zakończył Janio.

— Byłoby to ślicznie, — rzekł Zygmus, ale gdzie zbudujemy sobie dom?

— A na kasztanie, — rzekł z tryumfem Janio. — Spójrzycie, że tam podłoga jest już gotowa, tylko ściany i drzwi zrobimy.

— Ach, jak to będzie cudnie! — zawołała zachwycona projektem Maniuta.—Szkoda tylko, że musimy wiele rzeczy wprzód przygotować, zanim się bawić zaczniemy.

— Dlaczego? Możemy zaczynać zaraz. Chodźmy na werandę, tam będzie Szwajcarya, i zaczniemy wybierać się w podzół. Ścieżka będzie morzem, a ten trawnik wyspą bezludną. Tylko musicie mnie słuchać, bo ja jestem ojcem, — rzekł Zygmus.

Dzieci posłusznie wbiegły na werandę, gdzie ojciec Robinson zawołał stentorowym

głosem: „No żono, zabieraj rzeczy, bo jedziemy do Ameryki!“

— Dobrze, mój mężu, — odparła posłusznie żona, — zaraz będziemy gotowi.

W jednej chwili weranda opustoszała. Przyszli podróżnicy rozbiegli się do swoich kątów, aby zabrać wszystko, co na bezludnej wyspie przydać się im mogło.

W kwadrans potem stanęli gotowi do wyjazdu, obładowani pudełkami, sznurkami, gwoździkami, kamykami i tym podobnymi skarbami. Prócz tego każde z nich niosło mały stołeczek, który był częścią okrętu. Ojciec Robinson miał prócz tego fuzję na ramieniu, a jego najstarszy syn uzbroił się w łuk i kołczan.

Kiedy w chwilę potem mamusia z ciotką weszły na werandę, ujrzały dzieci na stołeczkach krzyczące i kiwające się na wszystkie strony.

— Co to znaczy? co wy robicie? — zawołała rozśmieszona ciocia. ●

— Ciociu, proszę nie przeszkadzać, — rzekł Janio. — My jedziemy do Ameryki i burza tak nami miota!

Jakoż rzeczywiście po chwili wszyscy

spadli na piasek alei, porwali się jednak i pędem dopadli zbawczego trawnika.

— Dzięki Bogu, jesteśmy ocaleni! — zawołał z ulgą ojciec Robinson.

19. Życie osadników.

Następnego dnia dzieci zaraz po lekcjach, które się już od kilku dni zaczęły, po obiedzie wybiegły na trawnik i zasiadły do narady.

— Przedewszystkiem musimy zrobić drabinę sznurową, bo inaczej nie dostaniemy się na drzewo, — rzekł ojciec Robinson.



Pierwszy wdrapał się na szczyt.

— Czyż macie tu co w tej pustce znajdziemy, — jęczała pani Robinsonowa.

— Chodźmy na wybrzeże, — rzekł ojciec, — kto wie, czy morze nie wyrzuciło czego.

Cała gromadka udała się na brzeg trawnika i, naturalnie, znalazła pod rzakiem spore

pubło sznurków, które tam przed wylądowaniem na bezludną wyspę umieszczono.

Natychmiast cała gromadka zabrała się do plecenia drabiny, która okazała się wcale mocną i wygodną, poczem ojciec Robinson przymocował ją do drzewa i sam pierwszy wdrapał się na kasztan, aby zobaczyć, czy niema tam dzikich zwierząt, lub węzów niebezpiecznych. Na szczęście oprócz kupy zeschniętych liści nie było tam nic więcej, cała więc rodzina znalazła się w gnieździe.

Miejsca było dosyć dla wszystkich, wygodny tylko mało, gdyż nie było na czem usiąść.

W tej chwili mamusia z cicią Wańdzą weszły na trawnik z zamiarem pogawędzenia w zacisznym miejscu i ze zdumieniem spostrzegły zwieszającą się z gałęzi drabinę sznurową.

— Co to jest? — zapytała cicia.

— Pewnie nasi malcy na drzewie siedzą, — odparła mama z uśmiechem. — Słyszałam coś wczoraj, że mają udawać Robinsona szwajcarskiego.

— Boże mój, jeszcze które spadnie! — zawołała cicia, która dla swoich pociech lękała się wszystkiego.

— Nie obawiaj się, moja uroga,—uspokajała ją mama.—Drzewo rozgałęzia się do syć nisko, więc gdyby nawet które spadło, nie zrobiłoby sobie krzywdy.

— Zresztą tutaj, mamusiu, jest bardzo dużo miejsca, tylko siedzieć nie mamy na czym, — odezwał się głosik pani Robinsonowej.

— Wiecie, co wam poradzę, — rzekła mama, — poszyjcie sobie worki i napełnijcie je piaskiem, będą doskonałe ławy do siedzenia.

— Dobrze ciociu,—odparł poważny głos Robinsona.

— Zaraz to zrobimy, jeżeli tylko morze wyrzuci nam jaki żagiel na dach i ławy.

Dzieci bawiły na kasztanie aż do wieczora i nawet na kolację trudno je było z napowietrznego domu ściągnąć.

Odtąd zabawa w Robinsona stała się ulubioną zabawą dzieci. Dom swój na kasztanie przyozdobiły w festony, przeplotły sznurem konary tworząc przez to rodzaj ścianek, które ukryły w zieleni, a miękkie poduszki z piasku stanowiły bardzo wygodne siedzenia.

Czuly się przytem dumne i zadowolone,

że wynalazły zabawę, która nikomu przykrości nie sprawiała.

20. Dwaj sztukmistrze.

Pewnego dnia Janio tak gorliwie wziął się do sprzątanía w szkolnym pokoju, że postanowił nawet sam, bez pomocy Marcysi, umyć podłogę. Naturalnie, ani mama, ani panna Helena nie domyślały się tego zamiaru, i ta ostatnia po lekcjach wyszła z książką pod kasztan, przypuszczając, że chłopcy, jak zwykle, udadzą się do swego napowietrznego domu.

Tymczasem Janio i Zygmus, który postanowił pomóc bratu, zabrali się energicznie do roboty. Zygmus pod pozorem rozlanej wody wyprosił od Marcysi ścierkę, Janio wynalazł jakieś stare szczotki do szorowania. Potem obaj przynieśli chłodnej, studziennej wody i wylawszy ją na podłogę zabrali się energicznie do pracy.

Rozumie się, że przy takim zajęciu przemoczyli zupełnie buciki, a podłoga pozostała brudna, bo mali lokaje zapomnieli zupełnie o mydle i sodzie, poprzestając tylko na niepomiernej ilości wody.

Na szczęście panna Helena, zaniepokojona ich długą nieobecnością, wróciła do pokoju i przerwała to miłe zajęcie, wypędzając ich do ogrodu i polecając jednej z dziewczyn kuchennych dokończenie rozpoczętej pracy

— Teraz musicie zdjąć obuwie, wytrzeć doskonale nogi i biegać dotąd, dopóki się dobrze nie zagrzejecie,— rzekła.— Obawiam się, abyście z tego przemoczenia nie dostali kataru.

— Nic nam nie będzie, proszę pani, — odparł zawsze pewny siebie Zygmus.— Zresztą zaraz się rozgrzejemy.

— No, Janiu, kto z nas prędzej obiegnie trawnik w koziołkach!

Z tymi słowami począł fikać koziołki jeden za drugim. Janio poszedł za przykładem brata, mniej jednak wygimnastykowany od niego, częściej zamiast w powietrze fikał koziołka na ziemię.

Dziewczynki, siedząc na kasztanie, przypatrywały się tym niezwykłym wyścigom i każdy nieudany koziołek witały oklaskami.

— A co, czy nie jesteśmy znakomitymi sztukmistrzami! — zawołał Zygmus, stając pierwszy u mety.

— Ale poczekajcie, to jeszcze nie wszystko, — my nie tylko przodem, ale i tyłem koziołki fikać umiemy! No, dalej, przyjacielu, zaczynajmy!

Niestety, sztuka ta nie zrobiła wrażenia na publiczności, odbyła się bowiem z takim wysiłkiem i tak przy samej ziemi, że wyglądała raczej na przewracanie się, niż na kozły.

— A teraz rzecz najważniejsza! — Wahadło zegarowe, — sztuka, która zdobyła nam sławę w całym świecie! — zapowiedział starszy sztukmistrz.

Rozciekawiona publiczność powytykała główki z gniazda i po przez liście kasztana patrzyła wyczekująco.

Chłopcy tymczasem stanęli tyłem do siebie i wzięwszy się pod ręce przywarli do siebie plecami, poczem równomiernie poczęli się na zmianę podnosić, tak że raz wraz nogi to jednego, to drugiego migały w powietrzu. Zdaleka robiło to rzeczywiście wrażenie wielkiego wahadła. Ta sztuka zyskała poklask ogólny, zadowoleni więc sztukmistrze z kapeluszami w ręku zaczęli obchodzić widzów, prosząc o datek. Z drzewa rzucono im całą furę liści i drobnych gałązek, panna

Helena zaś ofiarowała im garść pastylek mię-
towych, mówiąc z uśmiechem: „Darujcie pa-
nowie sztukmistrze, że wam daję same drob-
ne, ale narazie zabrakło mi grubszych pie-
niędzy”. Potem zziających i zmęczonych
wyprawiła do domu, aby włożyli suche poń-
czoszki i buciki.

Dzięki tej rozumnej opiece nauczycielki
przemoczenie nie wydało nawet spodziewa-
nego kataru.

21. Dzielni żołnierze.

— W co się dzisiaj będziemy bawić? —
zapytały pewnego poobiedzia dziewczynki,
wiedząc z góry, że bracia zawsze coś nowego
i bardzo zajmującego wymyślą.

— W żołnierzy napoleońskich, — rzekł Ja-
nio. — My będziemy francuzami, a wy niem-
cami. Wy nas napadniecie, ale my was
zmusimy do ucieczki.

— Ja nie chcę być Niemcem! — zawołała
Lorcja.

— Ty sam bądź sobie panem Blumem, —
poparła ją Maniuta, a Hela oświadczyła ka-
tegorycznie, że jeżeli ma być Niemcem, to
woli się wcale nie bawić.

— Kiedy my jesteśmy silniejsi od was,— próbował przekonywać je Zygmus, który również nie miał ochoty być Niemcem.

— Ale nas jest trzy, a was dwóch tylko, — dowodziła Lorcia. Zresztą nie boimy się was i nie damy się pokonać.

Wobec tego argumentu chłopcy musieli ustąpić, dziewczynki zaś uzbroiły się w kije, mające wyobrażać bagnety i forsownym marszem udały się na zdobycie twierdzy, zajętej przez szkaradnych Niemców.

Kiedy się już dostatecznie zbliżyły, huknął strzał jeden i drugi, a potem cała salwa kul papierowych przeleciała nad głowami atakujących, ale dzielni żołnierze napoleońscy następowali ciągle od czasu się tylko ostrzegając.

Z Niemcami było widocznie krucho, bo francuskie szeregi miały minę bardzo zadowoloną i już nawet dowódca-Lorcja wydał rozkaz: „Do ataku!”, gdy nagle Niemcom przybyły posiłki w postaci wielkiej, zielonej z czarnym rogiem liszki i dwóch ropuch, uciekających pospiesznie w głąb alei.

Na widok tych wstrętnych stworzeń szeregi francuskie załamały się w mgnieniu oka

i dzielne przed chwilą zastępy z przeraźliwym krzykiem cofać się na całej linii zaczęły. Skorzystali z tego Niemcy, zrobili z twierdzy wycieczkę i tak zaczęli prażyć kulami, że Francuzi potracili głowy i w popłochu uciekli aż na werandę.

— Dobrze wam tak,—zawołał impetycznie Zygmus.

Nie trzeba było wpraszać się na Francuzów. Gdyby Niemcy bali się głupich żab i liszek, to byłoby jeszcze do wybaczenia, ale Francuzi, a szczególnie żołnierze napoleońscy nie zwracają uwagi na takie drobiazgi. Przyniosłyście hańbę francuskiemu orężowi!

Dziewczynki próbowały się usprawiedliwić, ale bracia byli tak oburzeni, że za karę musiały się zgodzić zostać Niemcami, no i naturalnie, po krótkiej walce, w której im już żadna liszka ani żaba nie przeszkodziła, zostały pobite na głowę.

22. Strachy w ogrodzie.

Janio i Zygmus byli bardzo odważni, w żadne czary, duchy i tym podobne zabobony nie wierzyli, a choć bajki fantastyczne z zajęciem czytali, uważali je jednak za prostą

rozrywkę, nie mającą innego znaczenia. Lorcia nie wierzyła również i starała się być dziewczynką rozumną, ale panny Maniuta i Hela były tchórze, jakich mało.

Za nic w świecie nie byłyby weszły do ciemnego pokoju, na widok poruszającego się cienia krzyczały przeraźliwie, a jeżeli zdarzyło im się obudzić w nocy, natychmiast przyzywały mamę, nie licząc się z tem zupełnie, że położyła się spać późno i mogła być po całodziennem zajęciu przy gospodarstwie bardzo zmęczona.

Chłopcy wiedzieli o tem i nieraz wyśmiewali się z siostrzyczek i próbowali je oduczyć tego próżnego strachu, ale małe były niepoprawne.

— Słuchajcie, — rzekł raz Zygmus do nich. — Jeżeli dzisiaj po kolacji, wejdziecie do ciemnego pokoju, dam wam po tabliczce czekolady.

— Jeżeli nam przysięgniesz, że tam nic nie będzie, to wejdziemy, nieprawdaż Helu? — rzekła zdobywając się na odwagę, Maniuta.

— Mogę wam tylko przysiąc, że nikogo nie będzie, bo za duchy ręczyć nie mogę, — odparł figlarz, mrugając na Jania.

— Dobrze, zobaczycie czy się bęziemy bały,—odparły dziewczynki.—Tylko wy nas czasem nie straszcie,—dodały przewidująco.

— Niech pan Bóg broni,—rzekł Janio.— My nawet będziemy ciągle razem z wami, bo czuję od rana, że dziś jest pełno duchów w domu i w ogrodzie. — Małe stropiły się nieco, ale zrozumiały na szczęście, że Janio żartuje i postanowiły pilnować chłopców, aby im jakiego figla nie urządzili.

Janio jednak i Zygmus zdawali się nie myśleć o tem wcale. Bawili sie ciągle z dziewczynkami, a jeżeli oddalali się kiedy, to nigdy razem i nigdy na długo.

Dopiero po podwieczorku, bawiąc się w chowanego, ukryli się tak dobrze, że dziewczynki długi czas ich znaleźć nie mogły, i musiały zażądać, aby się sami ukazali.

— Ach, jakieście wy nieuważne, — wołali chłopcy, wychodząc z grabowej alei z minami bardzo zadowolonymi.—Myśmy stali za drzewami, wyście ze sto razy przebiegały obok i żadna nas nie zaważyła!

Dziewczynkom nie wydało się to zbyt prawdziwym, ale nie rzekły nic i zabawa szła dalej w najlepsze. Po kolacji dzieci upro-

siły pannę Helenę, aby poszła z nimi przed spaniem na spacer.

— Chodźmy do grabowej alei, — zaproponował Zygmus.

— Tam już zupełnie ciemno być musi, — szepnęła niechętnie Maniuta.

— Ej, Maniuto, zdaje mi się, że twoja tabliczka czekolady mnie się dostanie, — zaśmiała się Lorcja.

— Chodźmy do alei, — prosił Janio, — Założyliśmy się z Maniutą i Helą o dwie tabliczki czekolady, że się nie będą bały wejść do ciemnej alei, lub do ciemnego pokoju, — objaśniał pannę Helenę Janio.

— Przepraszam, o alei wcale nie było mowy, — wtrąciła się Hela, którą z nastaniem mroku odwaga coraz bardziej opuszczać zaczęła.

— Przecież to wszystko jedno, — uśmiechnęła się panna Helena. — W pokoju ciemniej niż w alei, a zresztą przy mnie nie potrzebujecie obawiać się niczego. No chodźmy!

Maniuta i Hela pochwyciły nauczycielkę za ręce i cała gromadka weszły w ciemną i mroczną głąb alei. Chłopcy szli naprzód, no chwili jednak zaczęli zwalniać kroku, aż

wreszcie zostali w tyle. Na prośby dzieci panna Helena zaczęła im śpiewać śliczną piosnkę o kukułce, gdy nagle Maniuta i Hela tulić się do niej gwałtownie poczęły z okrzykiem:

— Strach! strach!... tam.. stoi i macha rękami...

— Gdzie strach? jaki strach?—dopytywała się nauczycielka.

— Tam... w głębi alei... paniusiu złota, ratuj nas!..

Panna Helena podniosła głowę i jakieś dwadzieścia kroków przed sobą ujrzała zagradzającą im przejście wysoką białą postać, stojącą jakby w powietrzu, której olbrzymie i cokolwiek nierówne oczy błyszcząły złowrogo.

— Ach, chłopcy, po co wy straszycie siostrzyczki,—rzekła z niezadowoleniem nauczycielka. — Przecież takie małe głuptaski mogą się ze strachu rozchorować. No, Maniuto, Helu, uspokójcie się, to nie żaden strach, lecz dzieło Zygmunia i Jania. Chodźcie ze mną, to się przekonacie, że to jakaś koszula, czy prześcieradło,—namawiała panna Helena. Ale dziewczynki tak drżały i tak się do niej mocno tuliły, że je musiała siłą do owego stracha podprowadzić. Jakoż, rze-

czywiście była to długa nocna koszula z przy-
czepioną do niej głową z papieru. Owe zaś
błyszczące oczy okazały się dwoma kawałka-
mi świecącego w nocy próchna.

Długo jednak musiała nauczycielka pers-
wadować i namawiać dziewczynki, aby obej-
rzały owego przerażającego stracha, zanim
się odważyły spojrzeć na niego i ręką dotknąć
się płótna. Po tej próbie jednak Maniuta
i Hela nabrały takiej odwagi, że same weszły
do ciemnej sypialni i pomimo, że ze strachu
schwyciły się za ręce i zamknęły oczy, wy-
trzymały jednak chwilę, dopóki Marcysia nie
wniosła za nimi światła.

23. Książę Józef Poniatowski.



Przemoczono do samej szyi.

Najmilszą zaba-
wą dzieci i to nie
tylko chłopców, ale
i dziewczynek,
a szczególnie Ma-
niuty, była zabawa
w żołnierzy. Z
prawdziwą przyje-
mnością wybierały
sobie imiona boha-

terów, o których czytały lub słyszały i z prawdziwą dumą starały się przewyższyć ich dzielnością i odwagą w boju.

Pewnego razu, kiedy zebrały się w swoim napowietrznym mieszkaniu na naradę, Maniuta rzuciła myśl, aby zabawili się w księcia Józefa Poniatowskiego.

— Dobrze, ale kto będzie księciem Józefem? — zapytał Zygmus.

— Naturalnie, że ja — odparła Maniuta, — To moja myśl i ja będę dowódcą.

— Ależ ty jesteś dziewczynką! — zawołał Janio zgorszony.

— To co? — odrzekła Maniuta rezolutnie. — Nikt z nas nie jest prawdziwym księciem Poniatowskim, a udawać go każdy może, więc i ja mogę, nieprawdaż, Lorciu?

— Ja nie rozumiem, doprawdy, dlaczego chłopcy chcą zawsze przewodzić, — ujęła się za siostrą Lorcja. — Nie będę się bawić, jeśli Maniuta nie będzie księciem.

— I ja nie, — dodała Hela.

— To my się nie będziemy bawić, jeśli Maniuta będzie księciem; — rzekł zawzięcie Zygmus.

— To nie, — odparły dziewczynki, cała

piątka siedziała chmurna i zasepiona. A tymczasem słońce świeciło tak wesoło i chłodek od jeziora zawiewał tak miły, że dzieciom aż serca rwały się do zabawy.

Wreszcie Janio przerwał milczenie.

— Ustąpmy, Zygmysiu, — rzekł prosząco. — Niech Maniuła będzie księciem Józefem Poniatowskim, a dziewczynki jej adiutantami, my zaś bądźmy tylko prostymi żołnierzami.

Dziewczynki podskoczyły radośnie i wnet cała gromadka spuściła się po drabinie na trawnik i zajęła poszukiwaniem gałęzi, odpowiednich na strzelby i miecze, potem Maniuła poprowadziła swój oddział na urojonego nieprzyjaciela. Książę Józef składał dowody szalonej odwagi, wygrał jedną bitwę i drugą, aż wreszcie z szalonym zapalem zaczął ścigać zmykającego nieprzyjaciela. Wojsko pędziło za swym dowódcą, dotrzymując mu dzielnie kroku, a książę Józef machał tylko spoconą czupryną i biegł dalej. Niestety, sprytny widać nieprzyjaciel, okrążywszy ogród, wbiegł w aleję kasztanową, ale zaperzony książę Józef zapomniał o przestrodach mamy, przebiegł w pościgu całą zabronioną aleję kasztanową

stanął nad samym brzegiem jeziora, które tutaj wrzynało się nieco głębiej w ogród.

— Pal do nich! — krzyknął, ukazując mniemanego nieprzyjaciela na jeziorze.

Rozległy się ogłuszające strzały, książę Józef zaś w zapale wbiegł na niski drewniany pomost, zbudowany dla praczek do płukania bielizny. W tej samej chwili jedna z desek pomostu przeważyla się nagle i nieoczekiwanie książę wpadł do wody. Na szczęście przy brzegu nie było zbyt głęboko, a przyspieszonym Janio i Zygmusiem nie stracili przytomności i natychmiast podali Maniucie kije, za które uchwyciła się mocno i na brzeg się wydostała szczęśliwie. Biedny jednak książę Józef wyglądał okropnie. Przemoczona do samej szyi sukienka oblepiła szczelnie ciało Maniuty, a buciki i pończoszki poczerniały od nadbrzeżnego mułu.

— Co mama na to powie! — zawołała przerażona dziewczynka.

— Ja ci powiem, — pocieszał ją również zmartwiony Janio. — Chodźmy na jakieś otwarte miejsce, a ty zacznij biegać po słońcu, to wyschniesz i nikt się nie dowie.

Dzieci pędem zawróciły i na samym

skrócie z alei wpadły niespodzianie na szukającą ich po całym ogrodzie pannę Helenę. Nauczycielka na widok ociekającej wodą Mianuty przeraziła się niewymownie i natychmiast zaprowadziła dziewczynkę do domu, gdzie przebrała ją w suche ubranie i zatrzymała za karę w pokoju. Biedny ksiązę Józef Poniatowski musiał tylko zdaleka patrzeć się, jak bracia i siostry bawili się na trawniku w Czarnego Luda.

24. Sztuki magiczne.

W kilka dni potem tatuś zabrał Jania do Warszawy, chłopczyk bowiem narzekał na zęby i trzeba było kazać mu je zaplombować.



Wypuścił z paki dwa gołębie.

Janio znosił wszystkie zabiegi dentystryczne z wielką cierpliwością, jak przystało na prawdziwie dzielnego chłopca, to też tatuś postanowił zrobić mu jakąś przyjemność i w przeddzień wyjazdu wziął go ze sobą na przedstawienie jakiegoś słynnego magika.

Janio był zachwycony i całą drogę marzył tylko o widzianych sztukach, raz po raz zapytując o którąś z nich tatusia.

— Ach! gdybyście wiedzieli, gdzie ja byłem i co widziałem, tobyście popękali z zazdrości! — zawołał, skoro tylko po powitaniu mamy, cioci i panny Heleny, znalazł się z dziećmi na trawniku.

— Opowiadaj, Janiu, opowiadaj, — prosiły dzieci.

— Nie, to jest tak coś cudownego, że się wprost opowiedzieć nie da! — wołał zachwycony chłopczyk.

— Więc opowiedz! — zawołały dziewczynki niecierpliwie.

— Nie, nie będę wam opowiadał, tylko jutro pokażę wszystko, jak było. Opowiem tylko Zygmuśowi, bo on będzie moim pomocnikiem, — rzekł Janio.

— A kiedy nam to „coś” pokażesz? — zapytały dziewczynki, którym minki przeciągnęły się nieco.

— Po obiedzie, w altanie. Tylko nie siedźcie tam od rana, bo nic nie będzie, — odparł z powagą Janio i wzięwszy się z Zygmuśiem pod rękę, odszedł do grabowej alei.

Dziewczynki zostały same i długi czas naradzały się, jakby z chłopców wydobyć tajemnicę, ale Zygmus i Janio trzymali się dzielnie i nie zdradzili się ani słówkiem.

Nazajutrz rano zaciekawione panienki udały się wprost do altany, ale drzwi zastały zamknięte i zawiązane sznurkiem, którego końce do ściany lakiem przyklepione były. Prócz tego na drzwiach wisiał duży arkusz białego papieru, na którym wielkimi literami wypisane było następujące ogłoszenie:

Wielkie przedstawienie magiczne.

Dzisiaj w altanie.

Ale jeżeli kto drzwi otworzy

I do środka zajrzy,

To z przedstawienia — figa!

Wielcy magicy

Jan i Zygmunt.

Lorcja przeczytała głośno afisz i dziewczynki z noskami na kwintę wróciły na trawnik.

— Niedobrzy chłopcy, — mówiły markotnie. — Nawet przez dziurki zajrzeć nie dadzą, bo od środka zawiesili wkoło ten długi chodnik z przedpokoju.

Czekały też niecierpliwie i obiad dłużył się im niemiłosiernie, zaledwie też mamusia wstała od stołu, porwały się spiesznie i wprost do altany pobiegły

— Dokąd tak spieszycie, dzieci? — zawołała za nimi panna Helena.

— Idziemy do altany na przedstawienie magiczne, — odparli. — Czy pani do nas przyjdzie?

— Tak, za chwilę, — rzekła nauczycielka.

Przybiegłszy do altany, chłopcy uroczyście zdjęli pieczęcie i drzwi stanęły otworem.

Dziewczynki ujrzały altanę prawie pustą. Na środku tylko stał stół, a przy nim na stołku duża drawniana paka ze strychu ściągnięta, w kącie zaś ogrodowe ławki dla widzów.

Dziewczynki coraz bardziej zaciekawione, zajęły miejsca, Janio zaś wydobył z pod bluzki owiniętą szarym papierem laseczkę i rzekł z ukłonem:

— Szanowne panie, oto jest laska czar-noksięska, która pozwoli mi pokazać oczom waszym cuda! Najprzód zobaczcie, jak z małego palca wydobędę sto lokci najpiękniejszej

wstążki. Pomocniku, zwijaj wstążkę, bo już pędził

Zygmus stanął w pozycji i zaczął zwijać pozlepiane paski różowego papieru, które się z pod palców Jania wysuwać zaczęły. Sztuka była zręcznie zrobiona i zyskała poklask ogólny. Potem Janio zawsze za pomocą laseczki wypuścił z paki dwa gołębie, zamienił sztylet na węża, który był zupełnie jak żywy, dał Maniucie całe jabłko, a kiedy je rozkładała, wyskoczył z niego konik polny, aż wreszcie zapowiedział dwie sztuki najważniejsze.

Zygmus, ku wielkiemu zdziwieniu dziewczynek, wyjął z paki cylinder wujka, a Janio rzekł z powagą:

— „Pomocniku, masz tutaj trzy jajka, zrób z nich jajecznicę w tym cylindrze, a na znak mej pałeczki niech z cylindra wylecą trzy kurczęta”.

Zygmus posłusznie, z gorliwością wielką zbił jajka, potem wielką łyżką wymieszał je starannie i postawił cylinder na stole. Dziewczynki patrzyły zaciekawione i cokolwiek zaniepokojone o kapelusz, a Janio z powagą obszedł stół dokoła i nagle uderzył w cylinder. Na ten znak nie z cylindra wprawdzie,

lecz z paki wyleciały trzy kurczęta i z pis-kiem zaczęły biegać po altanie.

— Ale w cylindrze jest jajecznic! — za-wołały dziewczynki. — Pokaż nam cylinder!

Ale pomocnik sprzątnął już kapelusz, a na jego miejsce pojawił się wielki kuchenny moździerz.

— Teraz najważniejsza sztuka! — rzekł magik. — Może która z pań pozwoli mi na chwilę zegarek?

— Proszę pana, — odparła Hela, poda-jąc mu swój piękny, ze złotej blachy zegarek, który wczoraj dostała od niego.

Janio rzucił go do moździerza, kazał utłuc Zygmuśowi, a kiedy z zegarka proszek tylko pozostał, wystrzelił w moździerz, aby zegarek zrósł się cudownie, ale, niestety, ani strzelanie, ani uderzanie magiczną laseczką nic nie pomogło i zegarek pozostał pokru-szony.

Hela uderzyła w płacz i tej samej chwili panna Helena weszła do altany. €

Rzecz prosta, że cała sprawa wytoczyła się przed nią i nauczycielka pogniewała się na Jania za brak zastanowienia i naśladowa-nia sztuk, które wymagają niezmiernej wpra-

wy i zręczności. Tatuś zaś, dowiedziawszy się o zniszczeniu cylindra ukarał Jania surowo.

25. Burza.

Przez długi czas dzieci były bardzo spokojne, ale bo i upały lipcowe nie usposabiały do figłów.



Słońce prażyło tak niemiłosiernie, że obie mamusie pozwalały dzieciom bawić się tylko w obszernej, chłodnej i przewiewnej sieni, na tra-

Ciocia Wandzia upadła na kolana

wnik zaś wyprawiały je dopiero po podwieczorku, kiedy powietrze ochładzało się nieco.

Ta nieustanna opieka starszych, gdyż i ciocia, i mamusia, i panna Helena najskrzętniej chroniły się tutaj przed upałem, krępowąla dzieci i broniła im wybryków, do których były tak skore.

Wreszcie pewnego dnia wybuchła gwałtowna burza. Pioruny uderzały jeden za drugim, grzmoty huczały, a błyskawice były tak oślepiające, że niebo całe wydawało się jak w ogniu.

Przerażone i drżące dzieci tuliły się do matek, a i one blade były i wylękłe i tylko obecność tatusia dodawała im otuchy. Nagle piorun uderzył tak gdzieś blisko, że wszystkie szyby w oknach zabrzęczały i do sieni dziwny jakiś zapach się dostał.

— Jezus, Marja, to u nas! — krzyknęła mamusia, porywając się z miejsca, a tatuś, nie bacząc na deszcz, lejący strumieniami, je dnym skokiem dopadł drzwi i wybiegł z gołą głową na podwórze.

Ciocia Wandzia padła na kolana, mamusia narzuciła na siebie płaszcz gumowy i również za tatusiem wybiegła, a panna Helena stanęła przy oknie, patrząc wystraszonym wzrokiem na podwórze.

Tutaj widać było ruch niezwykły. Czterech ludzi kopało gwałtownie dół głęboki do którego czterech innych przyniosło i wpuściło jakąś postać, zasypując ją szybko, tak, że tylko głowa sterczała nad ziemią. Tatuś

sam pilnował tego, a zapłakana mamusia tuliła Wojciechową, która czegoś głośno rozpaczała.

— To Wojciech! — zawołał Janio, który miał wzrok bystry.

— Proszę pani, czemu go wkopali w ziemię?

— Nie wiem dokładnie, mój chłopcze, — odparła blada jak trup nauczycielka. — Prawdopodobnie został kontuzjowany od pioruna i tatuś go w ten sposób ratuje.

— Co to znaczy, proszę pani, kontuzjowany? — zapytała Hela.

— To znaczy, że piorun uderzył tak blisko niego, że siła elektryczna i pęd powietrza zaczęły o niego i wywołały tak silne wstrząśnienie, że stracił przytomność.

— A co by było, gdyby piorun w niego uderzył? — zapytała Maniuta.

— Toby go zabił na miejscu, moje dziecko, — odparła panna Helena. — Ale patrzcie, tatuś wraca, to się czegoś dowiemy.

Jakoż po chwili wszedł do sieni pan Rajski. Twarz jego była blada i poważna, a w oczach jego widniał smutek.

— Tatusiu drogi, — zawołał Janio. Czy Wojciech żyje jeszcze? Czy tatuś go uratuje?

— Nie wiem, moje dziecko,—odparł tatuś. Robię, co mogę i co powinienem, a będzie, co Bóg da. Janio i Maniuta wybuchnęli płaczem, gdyż bardzo lubili starego Wojciecha, a tatuś tymczasem opowiedział cioci, że piorun wpadł do stajni, zabił jednego konia i kontuzjował Wojciecha, a potem wyleciał przez otwarte okienko.

Po chwili tatuś wrócił znowu na podwórze, aby zobaczyć, co się z Wojciechem dzieje, a tymczasem niebo wyjaśniać się zaczęło i deszcz ustał. Dzieci nie odchodziły od okna, niespokojne o starego furmana i ucieszyły się bardzo, gdy zobaczyły, że ludzie zabrali się do odkopywania, a Wojciechowa rzuciła się do rąk tatusia.

— Musi przychodzić do siebie,—rzekła panna Helena, która również od okna nie odchodziła.— Pewnie go tatuś uratował.

— Dzięki Bogu, wszystko dobrze,—rzekł ten ostatni.— Już mi nawet konia nie żal, skoro wiem, że nasz poczciwy Wojciech zostanie uratowany.

26. Tabun dzikich koni

Po burzy, która odświeżyła nieco powietrze, dzieciom pozwolono pójść do ogrodu. Po długim wahaniu mamusia pozwoliła dzieciom zdjąć obuwie i cała gromada z głośnymi okrzykami radości wybiegła do ogrodu na bosaka.

— Bawmy się w tabun koni!—zawołała Maniuta.—My będziemy dzikie konie, a Zygmus będzie nas chwycił.

— Dobrze!—zawołały dzieci, którym się okrutnie chciało biegać po ciepłym mokrym piasku, przeskakiwać przez strumienie, których po ulewie natworzyło się mnóstwo w ogrodzie.

I rozpoczęły się gonitwy po całym ogrodzie, z wyjątkiem, naturalnie, zakazanej części nad jeziorem. Mama i ciocia z panną Heleną zasiadły na werandzie i przyglądały się, jak Zygmus chwycił od czasu do czasu któregoś konia i przywiązywał go na sznurku do drzewa. Łowca był zręczny, to też wkrótce cały tabun został schwytany, nawet najognistszy tabuńczyk — Janio nie uniknął swego losu i wkrótce rżał niecierpliwie przywiązany do drzewa.

— Teraz powiodę moje konie na sprzedaż, — oznajmił łowca. — Wiem, że ogrodnik potrzebuje konia do wożenia wody, może kupi którego.

Z tymi słowami podwiązywał konie od drzew, zebrał w rękę wszystkie sznurki i pojechał cały tabun do sadu.

— Panie ogrodniku, czy pan nie potrzebuje czasem konia? — zapytał Zygmus. — Dobre konie, wprost ze stepu, tanio panu sprzedam.

— Owszem, — odparł z uśmiechem ogrodnik i wybrałszy sobie małego konika — Helę, zapłacił za nią Zygmuśowi garść czereśni.

Reszta koni pobiegła dalej do bocznej furtki sadu, a w powrotnej drodze ogrodnik za nową garść czereśni kupił drugiego konia, potem trzeciego i czwartego, aż wreszcie za tę samą cenę sprzedał mu się i sam łowca.

Dzieci uprzejmie podziękowały ogrodnikowi za należenie do zabawy i zabrawszy otrzymane czereśnie w koszyczek, do którego ogrodnik dołożył nową porcję dla pań, powróciły na werandę. Rzecz prosta, że przy takiej bieżącej po błocie i nogi i ubranka dzieci ucierpiały mocno, musiały więc wszyst-

kie konie, nie wyłączając łowcy, udać się do pralni, gdzie je Marcysia pomyła i przebrała.

27. Tancerka na linie.



Ślicznie tanczyły zaczęła.

W kilka dni potem do tatusia przyszły dwie czarne cyganki z cyganem, prosząc o pozwolenie rozłożenia się taborem na krzaczystej wydmie przy jeziorze.

— Odpocznemy tylko i podku-

jemy konie, wielmożny panie, — prosiły cyganki. — U nas tak dużo dzieci, zmęczone, wielmożny panie, chleba niema, strawy ciepłej niema, bosc i nagie, zewsząd nas gonią... Wielmożny panie, ulitujcie się... — żebrały natrętnie.

— Jak długo chcecie wypoczywać? — przerwał im wywody tatuś.

— Trzy dni, wielmożny panie, — odparły uradowane.

— Dobrze, — rzekł tatuś. — Możecie prze-

nocować na wydmie dzisiejszą noc i jutrzejszą, a pojutrze, żeby znaku po was nie było. I zapowiadam,—dodał surowo,—że jeżeli cokolwiek zginie we dworze lub na wsi, choćby jedna kura z kurnika, lub gałganek z płota, oddam was strażnikom.

— Nic nie zginie, wielmożny panie,—zapewniały cyganki.

— Przykażemy wszystkim swoim, żeby strzegli pańskiego dobra, jak oka w głowie,—dodał cygan, gnąc się w ukłonie.

— A dużo tam u was dzieci?—zapytała mamusia.

— O dużo, krasna pani, jak jagód w lesie,—odparła starsza cyganka.—Gdyby krasna pani dla nich chleba kawałek i mleka kapkę dała...—dorzuciła, podejmując mamusię za nogi.

— Głodne niebożęta, zmęczone czarneńskie biedaki.—dodała śpiewnym głosem druga cyganka. — Do miasta na jarmark idziemy sztuki pokazywać; a one głodne i zmęczone, chleba nie zarobią.

Usłyszawszy, że małe cyganięta sztuki pokazywać umieją, dzieci zaczęły błagać rodziców, aby i one mogły te sztuki zobaczyć.

— Ależ słyszycie, że one głodne i zmęczone,—odrzekł tatuś, który nie miał ochoty wpuszczać bandy cyganów za bramę dworską.

— Tatusiu, wujaszku najdroższy, — błagały zaciekawione dzieci, — one przez dziś odpoczną, a jutro mogą nam sztuki pokazać! Tatusieńku, wujaszeczku najdroższy!

— No dobrze, już dobrze, — śmiał się pan Rajski, odsuwając dzieci, które go obstały, całując po rękach. — Zatem jutro koło godziny czwartej, przyjdziemy do was na wydęgę, a wy nam pokażecie swoje sztuki,— zwrócił się pan Rajski do cyganów, a mamusia poleciła pani Szarskiej wydać cyganom kawał słoniny, dwie dzieże zsiadłego mleka i kilka bochnów chleba. Uradowane cyganki rozsypały się w podziękowaniach i błogosławieństwach i zapraszając raz jeszcze na przedstawienie, odeszły wreszcie. ☺

Następnego dnia po południu panna Helena z dziećmi, Marysia i kilka dziewcząt dworskich udały się na wydęgę. Rodzice zostali w domu, obawiali się bowiem, wobec bliskiego sąsiedztwa bandy, zostawić gospodarstwo bez należytej opieki, dali tylko każdemu z dzieci po dwadzieścia groszy, aby

cyganięta zarobiły cośkolwiek i nie potrzebowały narzekać na wyzysk.

Cyganie czekali widocznie na zapowiedzianych widzów, bo poczynili już przygotowania. Na najrówniejszym miejscu rozpostarli duży wypłowiasty i zniszczony dywan, nad którym przeciągnęli grubą linę, przymocowaną do dwóch wysokich pstro pomalowanych żerdzi, dla gości zaś ze dworu przygotowali do siedzenia wiązki siana, panna Helena i dzieci zajęły pierwsze miejsca i przedstawienie rozpoczęło się natychmiast.

Najprzód wystąpili grajkowie, jeden z piszczałką, drugi z tamburinem, trzeci zaś ze skrzypcami. Potem cyganięta, nawpół nagie, w jaskrawych tylko trykocikach do kolan wywracali rozmaite kozły na linie i kiedy przerażonym dzieciom zdawało się, że już spadają na ziemię, gdyż puszczały się liny zupełnie, one fikały w powietrzu kozła i albo chwyciły się liny jednym palcem od nogi, albo stawały na niej uśmiechnięte i zadowolone.

Największy jednak zachwyt wzbudziła maleńka śliczna cyganeczka w różowej króciutkiej sukience, naszywanej błyszczącymi biaszkami, w wianku z róż na rozpuszczonych

włoskach, która po żywej drabinie, ułożonej z cyganiąt, dostała się na linę i na niej ślicznie tańczyć zaczęła.

Dzieci klaskały w ręce z radości, a kiedy wreszcie mała cyganeczka zeskoczyła z liny wprost w ramiona wysokiego cygana i stanąwszy na jego głowie, poczęła przesyłać dzieciom pocałunki, zachwyty tych ostatnich nie miał granic.

To też, kiedy maleństwo zjawilo się po chwili z cynowym talerzem w ręku, oddały jej nie tylko pieniądze, jakie miały od rodziców, ale i swoje drobne oszczędności, które im mamusia i ciocia na drogę dały. Nawet panna Helena, wzruszona słodkim wdziękiem maleństwa, rzuciła jej na talerz rubla, a służba prześcigała się w datkach. Po przedstawieniu powrócono całą gromadką do domu. Dzieci z zapalem opowiedziały rodzicom o zręczności małych akrobatów i ślicznej tancerce na linie, a dziewczynki oznajmiły stanowczo, że tylko tancerkami na linie w przyszłości będą i długo musiała im panna Helena tłumaczyć, jak ciężkim, niebezpiecznym, a zarazem bezmyślnym i bezużytecznym jest zawód tancerki, zanim odstąpiły od swego zamiaru.

28. Napad Tatarów.



upuściła naczynie.

Przedstawienie cygańskie na długo utkwiliło dzieciom w pamięci. Próbowały wykonywać wszystkie widziane sztuki, wy dostały nawet linę ze strychu, na szczęście jednak odbyły się te próby bez żadnego wypadku, panna He-

lena bowiem, przeczuwając, co się w ich zapakowanych główkach dzieje, czuwała nad nimi nieustannie. Zresztą wakacje dobiegły do końca. W ostatnich dniach sierpnia Janio i Zygmunt stawali do egzaminu, nauczycielka więc przytrzymywała ich dłużej przy pracy, aby nie spotkała ich jaka niepożądana niespodzianka.

Za ten konieczny przymus chłopcy wstawali sobie dokazywaniem nad miarę po południu, a że dziewczynki naśladowały ich we wszystkim, więc gwar i hałas rozpoczynał się taki, że tatuś z poobiednią drzemką przeniósł się do oficyny.

— Dzieci stają się ogromnie niestorne, — rzekła pewnego razu mamusia. — Trzeba będzie przykrócić im nieco cugli.

— Pozwól im, moja droga, — pobrykać jeszcze trochę, — prosiła ciocia. — Wakacje się kończą, a potem Zygmusia i Lorcię zapisuję do kompletów, a Hela w domu uczyć się będzie. Niech więc się bawią, póki mogą.

— I Janio dostanie się pod kuratelę, — uśmiechnęła się panna Helena, — gdyż do Jania przyjeżdża nauczyciel, ja zaś głównie Maniutą będę zajęta, Janiowi zaś tylko niektórych przedmiotów udzielać będę.

Dzieci przypadkiem usłyszały te rozmowę i zmartwione z jednej strony zbliżającym się końcem wakacji, a przerażone z drugiej zapowiedzianym nawałem pracy, figlowały, jak nigdy.

Pewnego razu przyszło im do głowy urządzić napad Tatarów. Wszystkie tygrysie kapy z gościnnych łóżek, wszystkie futrzane dery na konie, przechowane przez lato w schowaniu, zostały wydobyte. Wprawdzie mamusia pogniewała się o to, ale Tatarzy wyglądali naprawdę przerażająco. W wielkich czapach na głowach, w futrach na grzbietach

i tygrysiich kapach, z dzidami w ręku z twarzami lekko palonym korkiem uczernionymi, z ciemniejszym korkowym zarostem pod nosem i na brodach, mogli byli przerazić najodważniejszego.

Cały zaledwie czas po podwieczorku dzieci zużyły na przebieranie się i przed kolacją zaczęły bobrewać po ogrodzie. Przedewszystkiem tatarzy napadli na ogrodniczka, którego zamknęli w piwnicy, skąd go dopiero uwolnił ogrodnik. Ponieważ jednak ogród dosyć pusty nie przedstawiał dla dzieci dość rozrywki, przeto Tatarzy wymknęli się pociachu na podwórze i z krzykiem okropnym wpadli niespodzianie do kuchni, gdzie kucharka dzieżkę zsiadłego mleka niosła właśnie do ogrzania na sery. Biedna kobieta tak się wystraszyła, że mimowolnie upuściła naczynie, które potłukło się w kawałki, a mleko białym plackiem legło na ziemi. Na ten widok Tatarzy drapnęli ze strachu, lecz po drodze wpadli do drwalni, gdzie dwunastoletni Waluś, syn stróża łupał drzazgi na rozpałkę do kuchni.

Nierozsądny i zabobonny chłopiec, ujrawszy niespodzianie w mrocznej drwalni

przerażające, pokryte włosami postacie krzyknął przeraźliwie i padł na ziemię, rzucając się, jak w gorączce.

Tatarzy uciekli, jak oparzeni, do drwalni zaś, przywabieni jękami i krzykami przybiegli parobcy, a na ich czele stróż nocny. Chłopca podniesiono, ale nikt nic z jego bezładnego opowiadania zrozumieć nie mógł, domyślano się tylko, że chłopiec ujrzał jakiegoś kosmatego djabła. Waluś jednak z przerażenia dostał silnej gorączki i kilka dni musiał przeleżeć w łóżku.

Rodzice, dowiedziawszy się o napadzie Tatarów na kuchnię i drwalnię, pogniewali się na dzieci i ukarali je surowo pomimo wstawiennictwa cioci.

29. Wyprawa na wyspę.



Wyprawa na wyspę.

Przez kilka dni potem dzieci uspokoiły się znacznie i powróciły do zabaw w domu na kasztanie.

Tatuś zapo-

wiedział im surowo, że jeżeli jeszcze raz zrobią coś takiego, co komukolwiek krzywdę przyniesie, nie pozwoli im przez cały tydzień wychodzić z pokoju. Wobec tej zapowiedzi dzieci starały się być bardzo spokojne, a że przytem przeraziły się chorobą Walusia, więc narazie straciły i ochotę do figlów.

Po tygodniu jednak zapomniały o wszystkim i nanowo zaczęły broić. Przedewszystkiem opuściły znowu dom na kasztanie, który stale świecił pustką i nanowo rozpoczęły się gonitwy po ogrodzie. Panna Helena przypominała im od czasu do czasu ich obietnice, ale dzieci odpowiadały stale: „My przecież tylko biegamy”; bawiły się dalej.

W drugim tygodniu jednak znudziły się im gonitwy i swawolnicy poczęły nanowo rozmyślać nad urozmaiceniem zabawy.

Wreszcie pewnego dnia postanowili wyruszyć w tajemnicy na kępę na jeziorze.

— Pojedziemy zaraz po obiedzie, — postanowił Zygmus, który oddawna marzył o wycieczce na bezludną wyspę.

— A jak nas kto zobaczy? — zapytał niepewnym tonem Janio.

— Nikt nas nie zobaczy, — odpowiedziała

Maniuta.—Tatuś śpi, mamusia i ciocia czytają, a pannie Helenie powiemy, że idziemy do grabowej alei.

— Fe, kłamać dla zabawy,—rzekł Janio.

— Ten jeden jedyny raz, mój drogi, — prosiła Maniuta.—Jak wrócimy, ja sama przeproszę pannę Helenę i już nigdy więcej nie skłamię, ale teraz to już musimy koniecznie.

Jakoż po obiedzie panna Maniuta poszła opowiedzieć się nauczycielce, że wybiera się razem ze wszystkimi dziećmi do grabowej alei.

— Dobrze, tylko nie odchodzić nigdzie dalej,—rzekła nauczycielka, — to po podwieczorku pójdziemy w pole.

— Dobrze, proszę pani,—odparła dziewczynka i w podskokach pobiegła do czekającej na nią gromadki.

— No teraz prędko do alei, a potem bokami do kasztanów i nad jezioro,—szepnęła, przebiegając obok nich.

Cała gromadka puściła się pędem i wkrótce znalazła się nad jeziorem. Łódka stała rzeczywiście u brzegu, ale przywiązana do brzegu.

— Ja i Janio będziemy wiosłować, bo dziewczynki za słabe, — rzekł Zygmus. —

Siadajcie! ty Janiu weź wiosła do ręki, a ja odwiążę łódź i wskoczę za tobą.

Wszyscy posłusznie spełnili jego rozkaz, Janio z wiosłami usiadł na jednym końcu, dziewczynki skupiły się pośrodku i wszyscy czekali na Zygmuśia, któremu dość trudno było odwiązać sztuczny węzeł, jaki ogrodnik tylko umiał zadzierzgnąć.

Wreszcie węzeł został rozplątany i Zygmuś wsiadł do łodzi, która zakolysała się gwałtownie.

— Ostrożnie, ja się boję!—zawoiała Hela. — Poczekajcie, wolę wysiąść.

— I polecieć z językiem do mamy!—oburzył się Zygmuś. — Nic z tego, pojedziesz z nami, moja kochana.—Z tymi słowami odepchnął łódź gwałtownie i nie zważając na krzyki i płacz dziewczynki, począł wiosłować.

— Prędejj, Janiu! — wołał.

Janio podniósł wiosło, ale chłopcy o wiosłowaniu pojęcia nie mieli i wiosła były zbyt ciężkie na ich siły, to też łódź posuwała się po wodzie tak nierówno, tak się kołysała, że do krzyków Heli przyłączyły się wkrótce głosy Lorci i Maniuty.

— Zawróćcie do brzegu! — wołały prze-

rażone.—Nie chcemy jechać na wyspę! Chcemy do domu!

W tej chwili łódź przechyliła się tak gwałtownie, że woda przez krawędź chlupnęła do środka.

— Jezus, Marja! Toniemy! — krzyknęły dziewczynki i straciwszy zupełnie głowę, ukłękły na środku łodzi, wołając z płaczem ratunku, Janio i Zygmus pobledli z przerażenia. Chętnieby zawrócili do brzegu, ale nieposłuszne wiosła nie chciały pchać w upragnioną stronę i łódź kołysana na wszystkie strony, groziła naprawdę zatopieniem. Wtedy i oni stracili do reszty odwagę i poczęli razem z dziewczynkami wołać pomocy. Na szczęście krzyki te usłyszał przechodzący brzegiem ogrodniczek i ujrzał o jakieś kilkanaście łokci od brzegu kołyszącą się łódź, a w niej wystraszone dzieci.

— Niech panicze położą wiosła! — krzyknął z całej siły.

— Ja zaraz skoczę po małą łódkę i podpłynę na pomoc! Tylko przez ten czas niech wszyscy siedzą spokojnie!

Chłopcy ostrożnie położyli wiosła i w niemem przerażeniu patrzyli na krawędzie łodzi,

na cał najwyżej wystające nad wodą. Dziewczynki tuliły się do siebie i modliły żarliwie o ratunek.

Na szczęście ogrodniczek był sprytny i obrotny, to też po chwili dzieci z radością ujrzały, jak stojąc w małej łódce, zbliżał się ku nim szybko i ostrożnie.

— Ładnie się panicze urządzili, — rzekł, równając się z nimi i patrząc z zakłopotaniem na łódź prawie pełną wody. — Jak ja tu teraz dam radę. Wejść do łodzi nie mogę, bobyśmy wszyscy na dno poszli, tyle w niej wody! Ha, niech panicze i panienki kapelusami wylewają wodę, żeby się łódka podniosła, ale ostrożnie, nie chybotać, bo będzie źle! — Dzieci zerwały z głów kapelusze i zaczęły wylewać wodę. Jakoż po chwili podniosła się nieco wyżej.

— Dobrze, dosyć, — rzekł ogrodniczek. — Teraz proszę trzymać linę, panicz Janio za jeden koniec, panienki pośrodku, a panicz Zygmus na przodzie, żeby lina szła środkiem. Tylko trzymać mocno, a wolno, lecz równo z holującą ją małą łódką. — Przybiwszy do brzegu ogrodniczek począł jeszcze silniej ciągnąć za linę, potem pochwycił łódź rękami,

przymocował do słupa i pomógł wsiąść przemokniętym i wystraszonym dzieciom.

W tej samej chwili na kasztanowej alei pojawił się tatuś, któremu doniesiono, że ogrodniczek wziął łódkę, aby ratować zagrożone utonięciem dzieci. Przerażony, nie mówiąc nic paniom, przybiegł sam na brzeg, gdzie spotkał splakaną i zmoczoną gromadkę.

— Tatusiu, przebacz nam! Wujaszku przebacz!—zawołały dzieci, ale tatuś spojrział na nie tak groźnym wzrokiem, że umilkły mimowolnie.

— Do domu, przebrać się i wysuszyć!—rzekł surowo — a potem rozprawimy się inaczej.

Smutna to była rozprawa, choć tatuś nie uderzył żadnego z dzieci, tak smutna, że Janio i Maniuta nigdy o niej nie zapomnieli.

30. W y j a z d.

Ciocia Wandzia tak była tym ostatnim wypadkiem zmartwiona, że zapowiedziała swój wyjazd, a choć tatuś i mamusia zatrzymywali ją jeszcze na dwa tygodnie, nie chciała słyszeć o pozostaniu.

— Myślałam, że mam dobre dzieci, któ-

rym mogę zaufać, — mówiła ze łzami, — i kiedy doktor zalecił mi konieczny wypoczynek na wsi, zabrałam je z sobą.

Ale to dwa tygodnie zaszkodziłyby mi niezawodnie, bo jakby tylko odbiegły gdzieś dalej, nie miałabym chwili spokoju, a ta troska nieustanna podkopałaby jeszcze bardziej moje siły.

— Mamusiu najdroższa, — wołał Zygmus. — Przyrzekam Ci, że do końca wakacji nigdzie dalej, jak do końca trawnika nie pójdziemy sami.

— Kiedy ja twoim przrzeczeniom zaufać już nie mogę, — rzekła mama. — Straciłam zaufanie i nie odzyskam go tak prędko.

Zygmus zalał się łzami i umilkł, zawstydzony, a Lorcja i Hela głośno szlochać zaczęły.

— Ciocu, to moja wina, moja jedynie! — zawołała Maniuta. — To ja ich namówiłam, to ja skłamałam przed panną Heleną, ale już tego nigdy, nigdy nie zrobię. Jeśli chcesz, ciociu, to niech oni się ze mną nie bawią, ale niech nie odjeżdżają jeszcze!

Ciocia jednak nie dała się uprosić. Opóźniła tylko swój wyjazd o kilka dni.

Smutno przeszedł dzieciom ten czas. Już

i do zabawy ochoty nie miały, bo sumienia wyrzucały im nieustannie, że one to własnym swoim nieposłuszeństwem sprawiły rodzicom tyle przykrości i sobie popsuły taki śliczny koniec wakacji. Snuły się więc po domu lub siedziały na trawniku pod kasztanem smutne i osowiałe.

Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu. Dzieci z płaczem żegnały się z sobą i postanowiły tak się sprawować bez zarzutu, żeby rodzice powrócili im swoje zaufanie i przyszłe wakacje pozwolili im spędzić razem. Uściskom i pocałunkom nie było końca, aż wreszcie tatuś musiał zakończyć tę scenę, zabierając dzieci do pokoju. W tej chwili Wojciech klasnął z bata, powóz potoczył się ku bramie i zniknął na zakręcie. Janio i Maniuta zostali sami.

31. Na polu.

Po wyjeździe ukochanych gości Janio i Maniuta poczuli się tak samotni i opuszczeni, że usiedli w kąciku i płakać zaczęli. Panna Helena, widząc smutek dzieci, zabrała je z sobą do ogrodu i tam długo z nimi rozmawiała, przypominając wszystkie ich figle

i psoty podczas wakacji, tłumacząc im wiele rzeczy i snując wraz z nimi różne projekty na przyszłość.



Na polu.

Potem po obiedzie poszła z nimi do żniwiarni i objaśniała im urządzenie żniwiarki, a potem kazała im

zgrabiać pożęte zboże i pomagać wiązać snopy.

Dzieci pracowały ochoczo i tak im jakoś było dobrze, że rozweselili się zupełnie. Wprawdzie raz po raz wzdychały, żalując, że niema z nimi to Zygmuś, to Lorci, to Heli, ale nie płakały już i zaczynały dawać sobie radę same.

Nazajutrz przy lekcjach pilne były i uważne, szczególnie Janio, który za dwa tygodnie miał już zdawać egzamin. Po obiedzie panna Helena poszła z nimi do stodoły, dokąd zwożono zboże i na drabiniastym wozie pojechała na pole.

Tutaj usiadła sobie w cieniu snopka, a dzieci zmieszały się z tłumem żniwarzy. Znowu grały, a nawet we dwoje kręcili z zeszłorocznej słomy powróśla, żniwiarze bowiem dowodzili, że najlepiej kręci panicz z panienką. Przytem raz po raz na wysoko nałożonych furach wjeżdżali do stodoły. Była to dla nich nadzwyczajna przyjemność, pokrzykiwali też wesoło, wracając w pustych drabinach w pole.

— Droga, złota pani, żeby pani wiedziała, jak to przyjemnie jechać tak wysoko! Niech paniusia chociaż raz spróbuje, moja kochana! — namawiali pannę Helenę.

— Nie, moje dzieci. Ja nie mam takich zwinnych i lekkich nówek, jak wasze, trudno mi więc wdrapywać się na furę. Jedźcie same, tylko nie kręćcie się, bo słoma śliska, łatwo więc o wypadek.

— O, my się trzymamy! — odparły dzieci. — Tam, wysoko, najmniejsze pochylenie się woza, tak wygląda, jakby już cały wóz leciał na ziemię!

Przez kilka dni dzieci stale chodziły na pole i dopiero, kiedy ostatni snopek pszenicy został zwieziony do stodoły, wróciły do zabaw na trawniku.

— Jakie to teraz dzieci spokojne!— dziwiła się gospodyni,—jakby ich w domu nie było.

— E, proszę pani,—odpowiedziała Marcysia,—to tylko tak na początek, po odjeździe gości. Ale niechno się lepiej oswoją, zaraz psocić zaczną.

32. Dekarze.



Dekarze.

Jakoż Marcysia miała rację. W tydzień po wyjeździe cioci, kiedy tęsknota za towarzyszami przeszła, dzieci nabrały dawniejszego rezonu i znowu ich wszędzie pełno było.

Tatuś co roku przy końcu lata kazał zawsze opatrywać dach, czy niema gdzie jakich uszkodzeń, któreby przed zimą załatać, czy poprawić należało. W tym roku również sprowadzono dekarzy i dzieci z trawnika przyglądały się ciekawie, jak uwijali się po dachu.

— Szczęśliwi,—mruknął Janio cicho, — oni mogą chodzić sobie po dachu i nikt im tego nie zabrania, owszem jeszcze im tatuś za to pieniądze płaci. A jaki śliczy widok musi być z dachu!—wzdychała Maniuta.

Ale ani mruczenia, ani westchnienia nie pomagały. Janio i Maniuta marzyć nawet o wejściu na dach nie śmieli, dekarze bowiem po zejściu z roboty odstawiali zawsze długą i ciężką drabinę: której dzieci ruszyć nie miały siły.

Pewnego jednak dnia zapomnieli widocznie o tem, bo dzieci wybiegłszy po podwieczorku, ujrzały drabinę przystawioną, a na dachu nikogo.

— Co się stało z dekarzami? — zapytał Janio ogrodnika.

— Pojechali po obiedzie do miasta po smołę i dzisiaj już pewnie nie wrócą. A na co Janinowi potrzebna ta wiadomość? — zapytał ogrodnik podejrzliwie.

— Bo lubię na nich patrzeć, — odparł Janio z najniewinniejszą minką.

— Wiesz, Maniuto, niema dekarzów, pojechali do miasta po smołę, — powtórzył po chwili siostrze otrzymaną wiadomość.

— A drabina stoi,—szepnęła Maniuta

— Wiesz, ja spróbuję wejść,—rzekł Janio, ulegając pokusie, — A ty?

— I ja z tobą,—odparła Maniuta.—I ja chcę zobaczyć, czy z dachu widać jezioro. Ale wchodźmy zaraz, bo tu pewnie niedługo niania z Rysiem przyjdzie.

Nie namyślając się wiele, dzieci poczęły się drapać na dach. Drabina była długa, bo dom stał na wysokim podmurowaniu, w końcu jednak dostały się do krawędzi dachu i po spadzistych gontach wdrapały się aż na sam czubek. Tutaj od komina do komina szła deska dla kominiarzy, niby ławeczka na której zachwycone dzieci usiadły. Jeziora stąd widać nie było, gdyż kasztany zasłaniały ze strony domu zupełnie, ale dzieciom podobało się siedzieć tak wysoko.

— Teraz możemy sobie pogadać,—rzekł Janio.

— Dobrze, a jak nas kto zobaczy? — zauważyła Maniuta.

— Poczekaj, połóżmy się na desce, głowami do siebie, to nas nikt nie zobaczy, — rzekł pomysłowy Janio.

W tej chwili na werandę wyszedł tatuś

i spostrzegłszy opartą o dach drabinę, zawołał służącego, aby ją odstawił.

— To tylko pokusa dla dzieci,— powiedział.— A zabroniłem surowo, żeby mi drabiny stojącej nie zostawiali.

Dzieci słyszały tę przemowę tatusia, przycisnęły się więc do deski, aby ich nie spostrzeżono. Jakoż Walenty najspokojniej odstawił drabinę, nie widząc malców, którzy dusili się ze śmiechu.

Z dachu widać było dobrze tylko część ogrodu przed domem z jednej strony, z drugiej zajazd i bramę, a z boku podwórze gospodarskie.

Dzieci przyglądały się całemu ruchowi gospodarskiemu, widziały, jak niania spacerowała z Rysiem, jak ogrodnik obierał z drzew wiśnie, jak wreszcie wypuszczono cieleńca, które w niezgrabnych podskokach pobiegły do studni.

Dzieci bawiły się doskonale. Chwilami siadały na desce, chwilami kładły się znowu i nie zauważyły wcale, że słońce opuszcza się poczyzna.

Panna Helena tymczasem pewną, że dzieci bawią się spokojnie na trawniku, po-

szła do czworaków zanieść lekarstwo chorej córeczce karbowego. Dziewczynka miała gorączkę, nauczycielka więc obawiała się zabrać ze sobą dzieci. Wracając, zajrzała pod kasztan, a nie widząc malców, zaczęła ich wołać i szukać po wszystkich alejach.

Janio i Maniuta słyszeli wołanie, widzieli jej niepokój, ale zapragnęli nastraszyć nieco nauczycielkę i leżeli cichutko przyciśnięci do deski. Po chwili panna Helena zaalarmowała dom cały. Mamusia, tatuś, służba, rozbiegli się w różne strony, szukając i wołając naprzemiany. Dzieciom żal się wreszcie zrobiło zaniepokojonych rodziców i nauczycielki, tem-
więcej, że spostrzegli, jak mamusia oczy chustką ocierała, ale bali się tatusia i nie wiedzieli sami, co zrobić mają, a przytem jeść im się zachciało porządnie. To też, kiedy tatuś z parobkami pobiegł w stronę jeziora, usiadły na desce i zaczęły wołać z początku nieśmiało, potem coraz głośniejsze. Pierwsza spostrzegła je Marcysia i pobiegła z radosną wieścią do splakanej mamusi. Natychmiast przystawiono drabinę i służący sprowadził malców na ziemię. Na widok zmienionej twarzy mamusi dzieci poznały swoją winę

i rzuciły się ku niej, całując ją i przeprasza-
jąc stokrotnie. Tatuś jednak, któremu dano
znać również o znalezieniu się dzieci, wszedł
z bardzo groźną miną do pokoju i wzięwszy
winowajców za rękę, poszedł z nimi do szkol-
nego pokoju.

— Długo się starałem słowami napędzić
wam rozumu do głowy,—rzekł surowo.—Po-
nieważ jednak słowa na was nie działają,
przeto zmuszony jestem użyć ostatniego środ-
ka poprawy. Może wtedy zrozumiecie, jak
haniebną jest rzeczą nadużywać miłości ro-
dziców i dla igraszki narażać ich na ból i
rozpacz.

I kazał sobie podać mocną różgę.

33. Poprawa.

Był to jedyny i zbawienny, jak się oka-
zało środek. Janio i Maniuta przepłakali
prawie całą noc, a że przytem nie dostali
kolacji, przeto wstali zmęczeni i osłabieni, z
silnym bólem głowy.

Lekcje w takich warunkach nie mogły
iść dobrze, to też panna Helena nie była z
nich zadowolona i zapisała im w dziennicz-
kach „miernie”. Było to nowe zmartwienie

dla dzieci, gdyż dotychczas miawały zwykle „celująco” lub „bardzo dobrze”, po wczorajszej jednak nauce zrozumiały już, że jedno złe pociąga za sobą drugie, połknęły więc lzy i po obiedzie, który przeszedł bardzo smutno, zabrały się znowu do książek. Praca jednak nie szła im dokładnie. Na sercu bowiem było im tak smutno i ciężko, jak nigdy. Tatuś i mamusia mieli twarze blade i smutne, a nauczycielka surowa i poważna, nie gawędziła z nimi po lekcji i nie opowiedziała im żadnej z tych cudnych historii, jakich tyle umiała.

Nawet Józef i Marcysia usługiwali im jakby niechętnie i z musu tylko.

— Nie mogę się uczyć!—zawołał wreszcie Janio, odrzucając książkę.— Tak mi jest okropnie, że płakałbym tylko i płakał!

Maniucie dawno już lzy spadały na książkę, na słowa jednak braciszka rozplakała się głośno. Na to wbiegła panna Helena.

— Czy znowu zrobiliście coś nowego?—zapytała surowo.

Ten ostry dźwięk tak zwykle łagodnego głosu nauczycielki wywołał wybuch jeszcze gwałtowniejszego płaczu.

— Ach, jacy my nieszczęśliwi! — woła przez łzy Janio.

— Nikt nas już nie kocha, wszyscy się na nas gniewają! Ja umrę ze zmartwienia!

— I ja umrę, — wyjąkała Maniuta.

— Tak, to najlepszy sposób dowiedzenia rodzicom swojego żalu i swej miłości, — rzekła nauczycielka gorzko. — Myśmy wszyscy zwątpili w wasze serduszka, bo wczoraj, pozwalając nam martwić się tak długo, złożyliście dowód ogromnej obojętności i dla rodziców i dla mnie, a wszak kochałam was serdecznie. Jeżeli więc umrzecie teraz, to nikt się już nie dowie, czy wczorajszy wasz czyn był tylko dowodem waszej nierozwagi, czy też braku miłości.

— Więc co my mamy zrobić? — wybuchnął Janio z rozpaczą. — My byśmy chcieli przeprosić i mamusię i tatusia i panią i boimy się, że nas wszyscy odepchną i zostaniemy sami tacy biedni, tak okropnie biedni!

— Spróbujcie — pocieszała ich nauczycielka. — Prawdziwe uczucie zawsze potrafi znaleźć drogę do serca naszych ukochanych.

— W takim razie ja zaraz przeproszę panią! — zawołała Maniuta, rzucając się na

czycielce na szyję.—Paniusiū złota, ja bardzo panią kocham i nigdy już, nigdy pani nie zmartwię!

Janio nie mówił nic, ale patrzył na pannę Helenę tak błagalnie, że wzruszona nauczycielka przycisnęła dzieci do piersi, mówiąc łagodnie:

— Nie obiecuj, Maniuto, tak skwapliwie. Janio lepiej robi, że nic nie obiecuje, bo dotrzymać słowa bardzo jest nieraz trudno. Lepiej nic nie mówić, a w duszy mocno postanowić poprawę. A teraz chodźmy do rodziców, niech znowu radość i spokój zapanują w ich sercach.

Nie będę opisywać sceny przeprosin, powiem tylko, że było tam dużo łez, dużo uścisków i pocałunków i, że od tej chwili dzieci zmieniły się do niepoznania.

34. Okrężno.

Dzień za dniem mijał, a dzieci zachowywały się wzorowo. Z początku były bardzo nieśmiałe, bały się biegać, bały się roześmiać lub krzyknąć głośniej, ale panna Helena wytłomaczyła im, że jest to przesada i jako taka szkodliwa, że powinny śmiać się, bie-

gać i weselić, bo dzieciom dla zdrowia wasołość koniecznie jest potrzebna, byleby tylko nie przechodziła w bezmyślne rozbrykanie i do psot szkodliwych nie prowadziła.

Rozruszały się więc i po tygodniu były znowu wesołe i swawolne, choć widać było, że o postanowieniach swoich pamiętają.

W sobotę mamusia zapowiedziała dzieciom, że w niedzielę przyjdą żniwiarze z wiankiem i że rodzice wyprawiają dożynki i umyślnie przyspieszają, aby nie wypadły czasem podczas bytności Jania w Warszawie.

— Będzie to ostatnia twoja zabawa przed egzaminami,—rzekła panna Helena,—bo od poniedziałku cały tydzień będziemy wszystko powtarzać, a w niedzielę wyjeżdżamy.

Jakoż w niedzielę rodzice i dzieci siedzieli na ganku od strony zajazdu, gdy Marcysia, która już od dłuższej chwili niecierpliwie na drogę wyglądała, wpadła zdyszana, oznajmiając, że „już idą“.

Tatuś i mamusia stanęli w progu i czekali uśmiechnięci na gromadę, która z muzyką i śpiewem przed gankiem stanęła. Na przodzie stała hoża dziewczyna z olbrzymim wieńcem z kłosów i kwiatów polnych na głowie:

„Plon niesiemy, plon
„Naszym państwu w dom;
„Aby dobrze plonowało,
„Po sto korcy z kopy dało!
„Plon niesiemy, plon!”

Śpiewała gromada. Potem wystąpiła na-
przód Wojciechowa, słynna na całą wieś
śpiewaczka i zaśpiewała o jasnej panj, co
„jak lelija po pokojach się uwija”, o jasnym
panu, co „chodzi w złocie, aksamicie i kocha
panią należycie”, o pannie Helenie, że „jak
doktór jaki nosi różne leki, że nie trzeba po
nie jeździć do apteki”. Nie darowała ani
Marcysi, ani Józefowi, śpiewając o pierwszej,
że „kręci się, jak fryga i na drogę wciąż
śmiga”, a o Józefie, że „z kredensu wszystko
bierze, tłucze szklanki i talerze”.

— O nas widać nic nie będą śpiewać,—
rzekł Janio zawiedziony. Ale w tej chwili
Wojciechowę zmieniła rażna dziewczucha i
ująwszy się pod boki, zaśpiewała wesoło:

„A nasz panicz Janio,
„Kiejby malowanie,
„Zbudował se domek
„W zielonym kasztanie.

„A panna Maniuta
„Lubi tonąć w wodzie,
„Choć jej potera często
„Łzy ciekną po brodzie”.

— Macie za swoje, — zaśmiał się tatuś i rzucił śpiewaczkom srebrnego rubla.

Janio i Maniuta zawstydzili się trochę, a nawet mieli ochotę obrazić się ale panna Helena wytłomaczyła im, że na okrężnem zawsze coś żartobliwego o każdym śpiewają.

Potem przodownica złożyła u nóg rodziców swój wieniec, a oni uścisnęli ją i kilka rubli w rękę wsunęli.

W tej chwili z za węgla odezwała się kapela i rozpoczęły się ochocze tany. Tatuś zaprosił prodownicę, mamusia jej towarzysza, pannie Helenie dostał się karbowy, a do Jania i Maniuty przyskoczyły dwie dziewczuchy i bez pytania porwały ich w wir tańca.

Zabawa trwała do wieczora, poczem rozeszli się wszyscy bardzo zadowoleni, bo tatuś kazał wytoczyć beczkę piwa i beczkę kwaszonych ogórków, a mamusia ofiarowała tańczącym kilkanaście kiszek, olbrzymi zwój

kielbasy, kosz bułek i słodkich placków, które pani Szarska umyślnie na ten cel upiekła.

35. Zakończenie.



Pożegnanie.

Następny tydzień zbiegł dzieciom przy wzmózonej pracy nie-spostrzeżenie, aż wresz-cie nastąpiła niedziela. Janio, pożegnany bło-gosławieństwem i uści-kiem gorącym rodzi-ców, wyruszył z panną Heleną do Warszawy, gdzie mieli stanąć u

Cioci Wańdzi i razem z Zygmuśkiem chodzić na egzaminy.

— Proszę, niech pani zatelegrafuje o rezultacie, — rzekł tatuś — boję się cokolwiek o naszego roztrzępańca.

— Będę codzień za ciebie paciorek mówiła, żebyś zdał jaknajlepiej, — szepnęła Maniuta.

Mamusia tylko nic nie mówiła, lecz mocno ucałowała synka i krzyżyk nad jego głową nakreśliła.

Była to widocznie najlepsza pomoc, bo w cztery dni potem przyszedł radosny telegram:

„Wszystko dobrze. Same piątki. Jutro przyjeżdżamy.

Janio pierwszoklasista”.

K O N I E C .

4 Cholewa
W-wa 17.11.52
-10021

Spis rzeczy.

	Stronica
1. Kto były dzieci	3
2. Przykładna oszczędność	4
3. Wycieczka do lasu	6
4. Przygoda z Szarusią	9
5. Psie serce	11
6. Kto zawinił?	14
7. Sztuczne jezioro	16
8. Biedna Fruzia	20
9. Spotkanie z wężem	22
10. Teatr	26
11. Polne koniki	30
12. Maniuta w beczce	34
13. Rozbiegane konie	38
14. Nowi goście	42
15. Imieniny	46
16. Przyjaciele	50
17. Przynęta na muchy	55





**KSIĘGARNIA
POPULARNA
W WARSZAWIE**

**POLECA NASTĘPUJĄCE NOWE WYDAWNICTWA
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY:**

BOHUSZEWICZ J. Historia małego człowieczka. Powieść dla młodzieży z ilustracjami, w oprawie.

Przygody Państwa Milusińskich. Bajeczki dla dzieci od lat 7 do 9 z ilustracjami, w oprawie.

Świat bajek. Z krainy wróżek i czarów zbiór najpiękniejszych i najfantastyczniejszych bajek. Bogato ilustrowane, w oprawie.

GAWICZ A. Skarby kamienistej pustyni. Opowiadanie młodego chłopca z ilustracjami, w oprawie.

ŁĘBARSKI ST. Król Boha'er. Powieść historyczna z czasów króla Wł. Jagielly z ilustracjami, w oprawie.

Wyprawa na słońce. Opowiadanie dla młodzieży z ilustracjami, w oprawie.

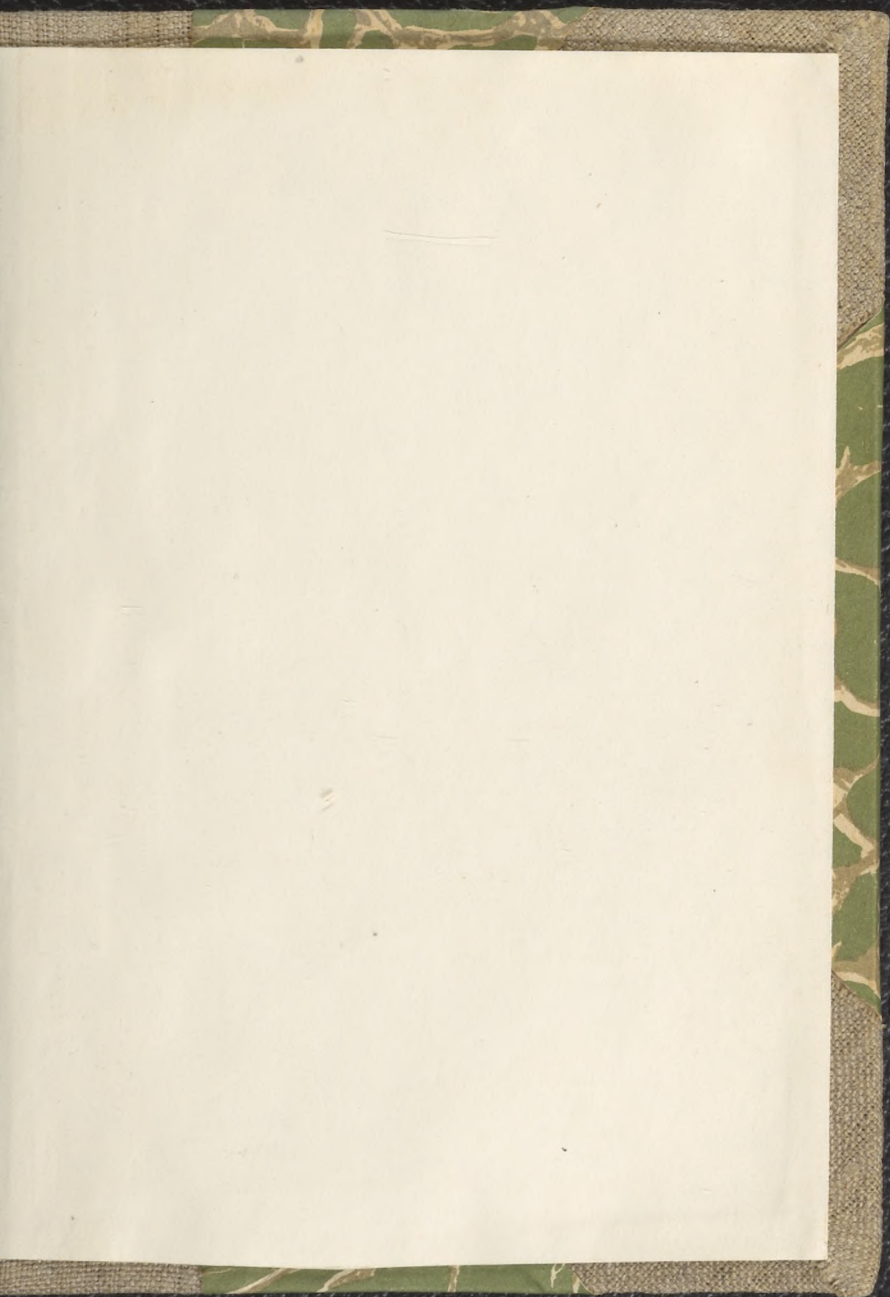
Tajemnice Indii. Powieść podróżnicza po Indji z ilustracjami, w oprawie.

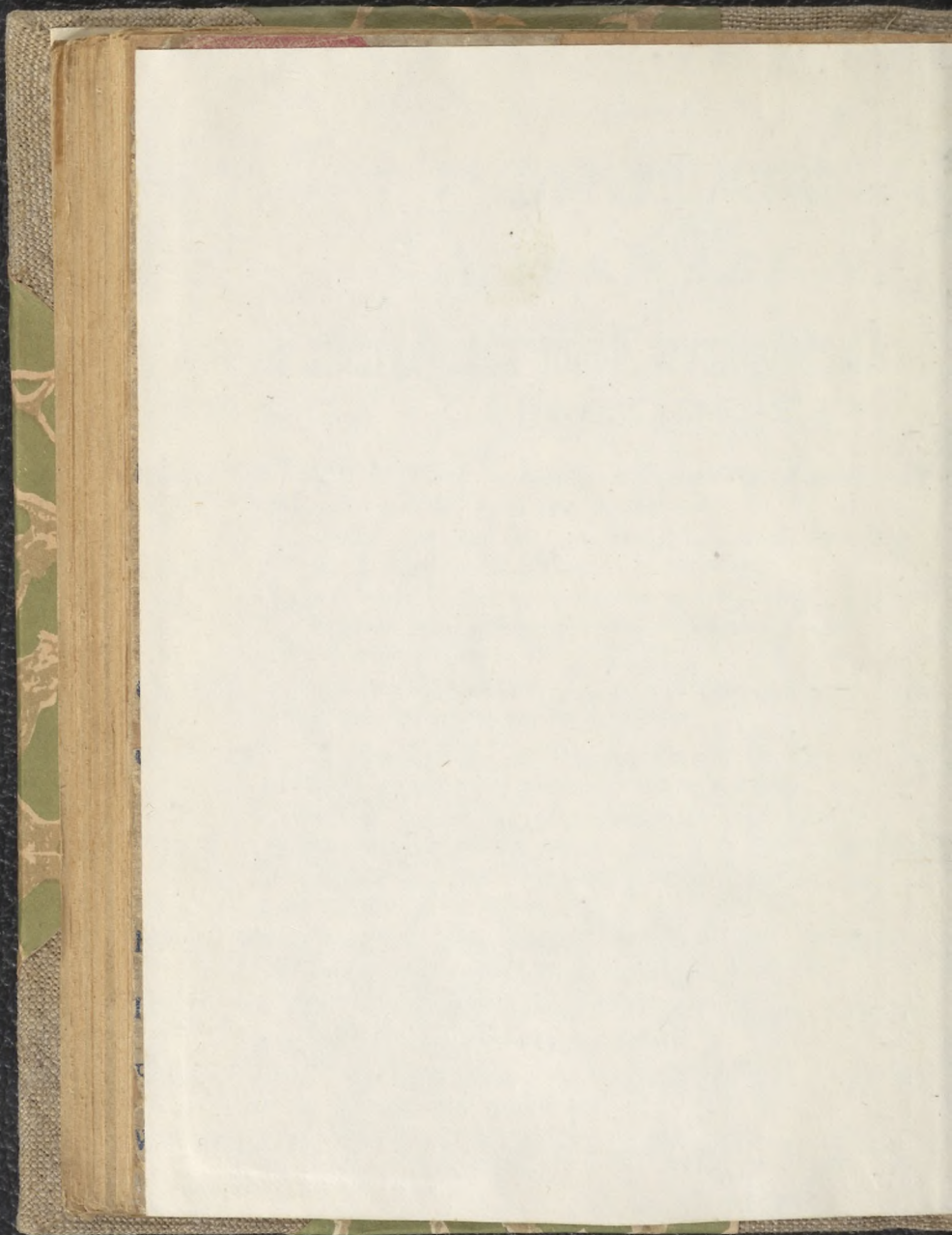
HABERTON J. Wesołe Figlarki. Powieść dla dziewcząt i chłopców z ilustracjami, w oprawie.

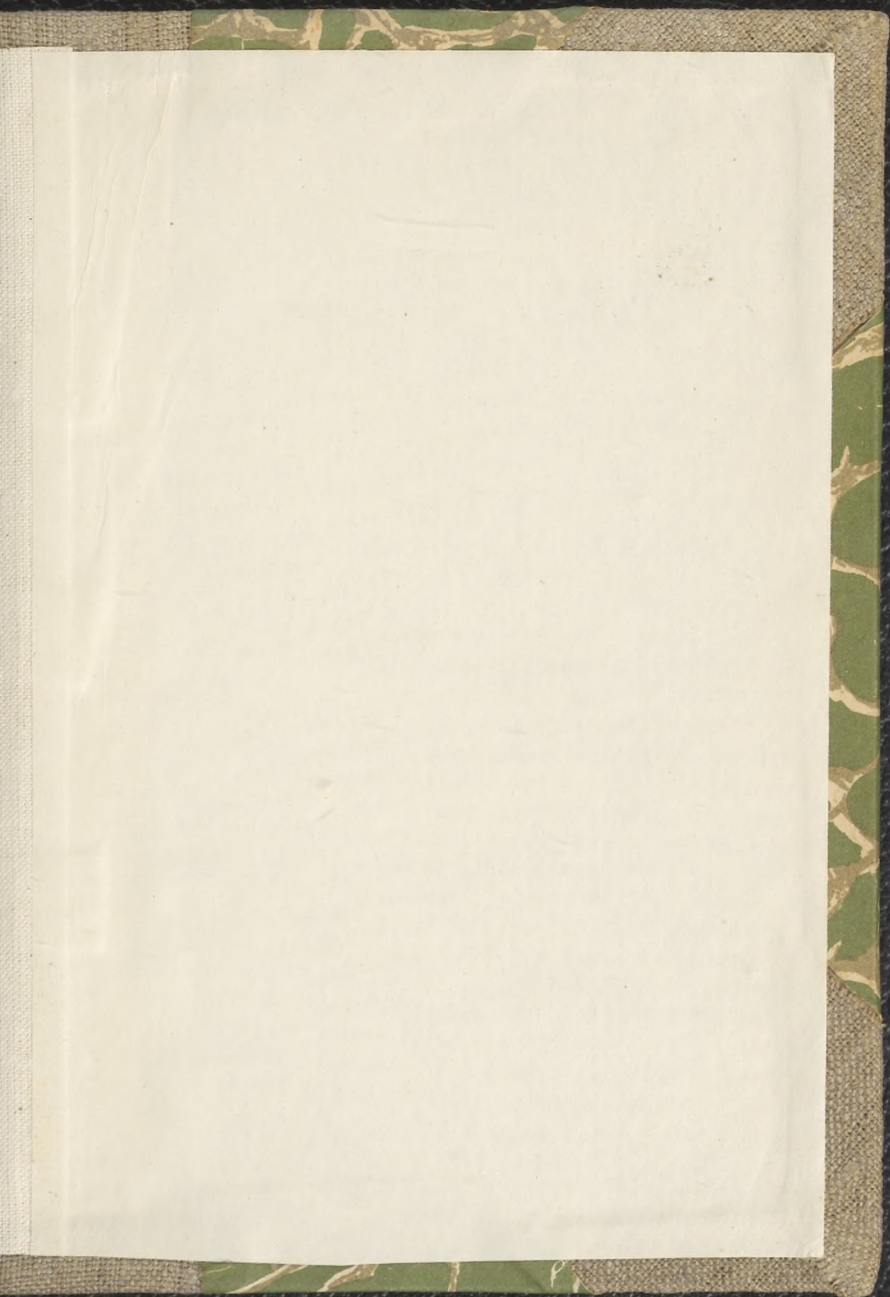
IZDEBSKA WŁ. Pamiętnik Babuni. Powieść dla dorastających pańienek z ilustracjami, w oprawie.

RYGIER L. W zaczarowanym kole. Bajki dla starszych dzieci z ilustracjami, w oprawie.

WINAWER R. Przygody Sindbada, podróżnika morskigo z ilustracjami, w oprawie.









1560731

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001007946323